Nr. 32. Warszawa, dnia 25 Lipca (6 Sierpnia) 1898 r. Rok XVIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

BISMARCK.

I.

Dnia 20 marca 1890 r. wzburzyło się młode wino w starym statku. Wilhelm II, zanim się jeszcze dwa lata panowania jego skończyły, nie zawahał się męża opatrznościowego, twórcy politycznej jedności niemieckiej, kanclerza trzech cesarzy, odprawić ze służby. Gdy wiadomość o tem rozeszła się po świecie, świat odetchnął. Ten sam człowiek, któremu teraz potężniejszy od niego pokazywał drzwi, w dobie swej potęgi chełpił się, że w Europie całej on właśnie jest „najlepiej“ nienawidzanym; powiedział to publicznie, w sejmie swego narodu, w obliczu całego świata. Nigdy nie patrzył w siebie i w Europę tak jasno, jak wtedy, kiedy to mówił: nikt w Europie nie zebrał takiego żniwa nienawiści z posiewu krzywdy i pychy, jak on, „żelazny kanclerz,“ mąż zesłany Niemcom. Jednych tak wielkością swoją przytłaczał, że się wydobyć z pod niego pragnęli; innym tyle złego wyrządził, że musieli złorzeczyć każdej chwili, trzymającej go u steru spraw niemieckich. Sami Niemcy, których zjednoczył, uszczęśliwił, oczarował, przykuł do siebie powodzeniem, mieli go już za wiele: i dla nich też był nietylko z żelaza, ale bez miłosierdzia; połowę narodu niemieckiego wydzielał z niego jako *Reichsfeindów*: wrogiem państwa był nietylko każdy partykularzysta, katolik politykujący, postępowiec, wolnomyślny, ale każdy, kto się jemu, Bismarckowi, opierał. I niemieckie też serca doznały ulgi, gdy młody cesarz sam własnym geniuszem wielkość swą budować zapragnął. Wszyscy odczuli dobrodziejstwo odprawy; wszystkim dymisya wydawała się jakby zakopanie żywcem w grób.

Wszyscy się mylili. Złożony w grobie dalej żył, bo dalej nienawidził. Śmierć polityczna nie wydarła mu tego, co było główną siłą rozpędową jego subjektywizmu: nienawidził i żył. Cesarz mógł mu odebrać tylko kanclerstwo; nie odebrał mu jego złej natury. Odprawiony nie dał się przydeptać: rękę wciąż z grobu wyciągał, z pod ziemi na ziemię gwałtem się wybijał — mówił, pisał, napominał, gromił, piorunował, i tem wszystkiem żył. Krajany, jeszcze jak wąż każdem swojem dzwonem drgał. Najpierw duma, rozpalonem żelazem przez młodego cesarza przypieczona, nie mogła mu sromoty odprawienia darować: był to czas nienawiści ku Wilhelmowi II i Capriviemu. Potem, z całem okrucieństwem dzikiego człowieka, zaczął pieścić ucho niemieckie hasłem *Ausrotten*: i był to czas nienawiści ku Polakom. Nienawiść zawsze i wszędzie: Niemcy swoje kochać umiał, tylko nienawidząc tych, których za wrogów ich uważał.

I tak doczekał się najwyższego tryumfu, o jakim mógł w grobie swoim zamarzyć: w r. 1894 Friedrichsruhe przemieniło mu się w Canossę. Przyszedł Wilhelm II-gi uczcić go i przebłagać: przebłagał i stanowisko polityczne wydarto moralnie przywrócił. W sprawach i chwilach szczególnie ważnych samotnik z Sachsenwaldu był doradcą tronu: stosunki z Rosyą, przymierze z Austryą, polityka względem Polaków — kształtowały się tak, jak Bismarck nauczał. Odsunięty od władzy, nie przestał być powagą, siłą i wyrocznią. W r. 1895 osiemdziesiątej rocznicy urodzin nie mógłby mieć wspanialszej w Berlinie, niż ją miał w swej lauenburskiej stolicy. Tylko sejm niemiecki uchylił się od urzędowego hołdu, uchyliły się wrogie jubilatowi stronnictwa, ale to, co było powszechnością narodu, wystawiło jeden ołtarz i okadziło bożyszcze. Mógł już zapomnieć o swojej dymisyi, tem łatwiej, że coraz częściej ze swemi prawami przypominała mu się śmierć. Nie przeciw niej podołać nie mógł nawet, osobliwsze upodobanie, radca tajny Schweninger. Wreszcie d. 30 lipca przed 11-tą w nocy żelazny kanclerz zmarł we Friedrichsruh w swym majoracie Schwarzenbek (w księztwie lauenburskiem), który za wojnę 1870—1 od narodu otrzymał.

Po tej śmierci, już na dobre, świat też lepiej, niż po tamtej pierwszej, odetchnął. Ten niewzruszony porządek świata, który śmiercią nazywamy, niewzruszenie straszliwy i okrutny, wobec takich cyklopowych natur, jak Bismarck, dziwnie bywa dla człowieka dobrym. Śmierć krzywd nie zmaże, praw nie przywróci, długów względem ludzkości zaciągniętych nie spłaci, krwi wylanej nową nie zastąpi, łez nie osuszy; człowiek, co tyle mógł i tyle zrobił, żyć będzie nadal w myślach swoich, w instytucyach, które wytworzył, w istotach ludzkich, które wyhodował, w prądach i kierunkach, które wszczął; odejdzie on, ale nie odejdzie to zło, które z niego wyszło: a jednak śmierć takiego szkodnika i niszczyciela w pierwszej chwili daje zawsze rozkosz wrażenia, że już znikł nazawsze. Potrzebuje tej pociechy znękana wyobraźnia, potrzebuje umysł znużony pracą odgarniania czynów i wypadków boleśnie rażących jego przekonania, zasady, ideały — wiarę i miłość intelektualną, bez których żyć niepodobna, jeśli się życia swego za młodu już nie unurzało w błocie dnia powszedniego.

Śmierć takiego jak Bismarck przynosi też i rzeczywistą już, nieodwołalną pociechę: zło w tych rozmiarach jako siła działająca nieprędko się pojawi; na takich, jak on, czekają wieki. Zostały jego myśli, kierunki, ścieżki; ale niema już jego sa-

mego: będzie źle, ale nie tak straszliwie źle, jakby z nim być musiało. Wielką dobrodziejką jest śmierć, litościwem to prawo fizyczne, które organizmy ludzkie już po upływie lat kilkudziesięciu zmiata. Wyobraźmy sobie los ludzkości, w którejby taki Bismarck jako „żelazny kanclerz“ wiek cały nad Europą ciążył, a pochowany przez Wilhelma II, jeszcze lat kilkadziesiąt mówił o sobie światu, że żyje. Okrutniejszej zmory wystawić sobie niepodobna.

Przypomnimy tu pokrótce jego życie i sprawy.

Tydzień polityczny. Bismarck d. 30 z. m. ducha wyzionął. Gdyby nie wola jego własna, miałby pogrzeb na koszt państwa i grobowiec w samym Berlinie, a tak spocznie w mauzoleum we Friedrichsruh, w pobliżu pałacu. Cesarza śmierć Bismarcka zaskoczyła w Bergen. Będzie miał jeszcze czas być na pogrzebie, bo ten odbędzie się dopiero za kilka tygodni. Bismarck sam przygotował sobie napis na grób: „Wierny niemiecki sługa cesarza Wilhelma I-go“ — dziwna prostota.

Biograf-pochlebca ks. Bismarcka, Busch, ogłosił w *Localanzeiger* list zmarłego do ces. Wilhelma II przed katastrofą upadku d. 18 marca 1890 r. Fakt nieporozumienia o atrybucye prezesa ministrów pruskich nie jest nowym, nie nowemi także racye Bismarcka przeciw *capitis deminutio* (pozbawieniu praw), wyrzeczonej przez cesarza, ktoro postanowił był sam znosić się z ministrami, bez pośrednictwa prezesa. Nową w liście jest chęć kanclerza pozostania na urzędzie, mniejsza od przywiązania do praw, które mu wydzierano.

Hiszpania za pośrednictwem p. Cambona, posła francuskiego w Waszyngtonie, zawiązała rokowania o pokój. Pierwsze wywiady przypadły jeszcze dwa tygodnie temu. W przeszłym tygodniu rada gabinetowa amerykańska ułożyła warunki i podała je pośrednikowi. Wszystkie dotychczas wiadome tak się w całości przedstawiają: 1) Odstąpienie zupełne Portorico, mniejszych wysepek przy wybrzeżach Kuby, jednej z wysp Maryańskich i jednej z Karolińskich. 2) Uznanie niezależności Kuby. 3) Komisya wspólna dla postanowienia o Filipinach, gdzie Stany Zjednoczone obecnie już pragną mieć stacyę węglową. 4) Przekazanie długów Kuby i Portorico całkowicie Hiszpanii. 5) Unieważnienie taryf celnych obu wysp. 6) Ustanie zupełne zwierzchnictwa Hiszpanii nad wodami zachodnio-indyjskiemi. 7) Dalsze prowadzenie wojny. O kosztach niema mowy: zdaje się, że Portorico idzie za koszta.

Karliści pojawili się w Katalonii. W Zurichu radzi Don Carlos ze swoimi nad „akcyą.“

Niewiele utarguje z tego Hiszpania. Układy prowadzić mają posłowie obu stron. Podpisanie musi być rychłem, bo Stany Zjednoczone już wysadziły wojsko na Portorico, a Hiszpanie zamknęli się w stolicy San-Juan. Zajęto już Ponce, a po zajęciu całej wyspy trzeba będzie dać Amerykanom więcej, niż dziś. Owa komisya mieszana ustąpi chyba miejsca konferencyi międzynarodowej: Filipiny zbyt wiele mają międzynarodowego znaczenia.

We Francyi, zwłaszcza w Paryżu, szerzy się ruch za rewizyą procesu Dreyfusa. *Siècle* doradza zbiorowe petycye. Już nawet *Temps*, trzymający się zawsze na szynach półurzędowości, hasło to wydaje, chociaż czyni to w sposób, wskazujący tylko logiczną konieczność a nie polityczną potrzebę. Picquart, uwięziony wkrótce po owem posiedzeniu Izby z d. 7 z. m., na którem Cavaignac odczytał trzy dokumenty wrzekomo potępiające Dreyfusa, niema jeszcze wytoczonej sobie sprawy. Sędziowie namyślają się nad Paty du Clamem. Chcieliby go puścić wolno.

ŻYCIE SPOŁECZNE

WNIOSKI ZJAZDU.

Przed paru tygodniami na zjeździe lekarzy kolejowych w Petersburgu poruszono niezmiernie ważne sprawy pogodzenia warunków pracy z zasadniczemi podstawami hygieny społecznej. Sprawy te dotyczą losów i życia, a zatem warunków istnienia wielu tysięcy ludzi pracujących w przedsiębiorstwach kolejowych. W czasie gdy te doniosłe kwestye roztrząsano, gdy im poświęcono osobne posiedzenie i rozprawiano po 8 godzin dziennie prawie bez przerwy, gdy w referatach i dyskusyach dotknięto rodzinnych warunków bytu licznych rzesz ludzi, napróżno szukaliśmy w pismach już nie artykułów, ale przynajmniej suchych sprawozdań. Nie było na to miejsca, bo zajęły je inne sprawy na czasie: wyścigi i wiece śpiewacze.

Zjazd lekarzy kolejowych nie wpłynął jeszcze na stanowcze reformy i ulepszenia warunków bytu i pracy, ale to, co sformułował, może być podstawą do reform, jeżeli nie gruntownych, to przynajmniej częściowych, które zaoszczędziłyby znaczną część sił ludzkich i zapewniły lepsze jutro rodzinom tej wielkiej armii uruchomionej w komunikacyi kolejowej na przestrzeni kilkudziesięciu tysięcy wiorst. Zjazd nie miał do rozporządzenia danych cyfrowych, które mogłyby odrazu zaważyć na szali i wywołać pierwsze kroki do czynu, ale rozporządzał licznymi i wiarogodnymi faktami, pozwalającymi na postawienie określonych i pewnych wniosków. Przedewszystkiem tedy ze swego stanowiska fachowego lekarze, uznawszy fakt przeciążenia pracą, rozklasyfikowali rodzaje utraty sił i zdolności do tej pracy. Któż jeżeli nie lekarz kolejowy, może się temu zbliska przyjrzeć i swoją własną praktyką poprzeć potrzebę reformy? Dotąd *przeciążenie* w statystyce hygieny nie znalazło osobnego miejsca, bo jest ono tylko podłożem różnych chorób i wyczerpania. Stwierdzono tylko, że pracownicy, zwłaszcza w tak zwanej służbie ruchu, skarżą się na przedwczesne osłabienie, utratę energii fizycznej i duchowej, że to wyczerpanie prowadzi do neurastenii, alkoholizmu, oteryzmu, morfinizmu itd., że wreszcie wytwarza skłonność do przyjęcia chorób zakaźnych.

Najodpowiedniejszą porą do spostrzeżeń i klasyfikacyi w tej mierze są: okresy wzmożonego ruchu pasażerskiego, towarowego i wojskowego; wypadki, reformy (przejście kolei żelaznych w inne ręce, zmiana administracyi itd.); okres sprawozdań, rachunków i wogóle robót pospiesznych, nadzwyczajnych.

Do środków administracyjnych, zapobiegających przeciążeniu pracą, zjazd kolejowy zaliczył: unormowanie godzin nieprzerwanej pracy i wypoczynku; właściwszy rozkład tych godzin. O ile można, największe ograniczenie godzin pracy w nocy, i prawidłowa organizacya dyżurów nocnych. Zniesienie godzin pracy nadzwyczajnej za płacą dodatkową, a natomiast wprowadzenie zapasowych kadrów oficyalistów i robotników. Wprowadzenie większej liczby dni ulgowych

---

Janina Baudouin de Courtenay.

ISMAEL

(Kontur psychologiczny).

I.

Ponieważ sam jeszcze nie wiem, co we mnie w końcu przeważy — chęć czy też niechęć, aby świat o mnie coś wiedział... „świat!“ — to jest garstka ludzi pewnego czasu i pewnego pokolenia — rzucam na los wypadku te oto karty, ten niby klucz do grobowca dawnej duszy mojej i do tej nowo-powstałej, czy też zmartwychstałej... Czynię to, przesyłając panu, czcigodny i przezacny Profesorze, zeszyt tu załączony. Być może, iż przyjrzawszy mu się zblizka, raczy go Pan przechować u siebie, zgodnie z mą prośbą; być może, iż nie zasłuży on na ten honor... Mam tu na myśli zbiory Jego — archiwum psychologiczne. Umieszczone wśród nich i moje karty odczytane może będą kiedyś z uwagą i zajęciem jedynie tylko dla prawdy w tym niezwykłym bólu i w dziwnem jego uspokojeniu, która z nich musi uderzać. Jednem swem mądrem spojrzeniem obejmiesz, czcigodny Profesorze, znaczenie obrazu skreślonego tymi łamanymi, drżącymi konturami... Pojmiesz, że obecny jesteś przy rzadkiej wiwisekcyi duchowej...

Obnażając skrwawione wnętrze mej duszy, nie dlatego to czynię, żebym jak pies przywiązany do stołu eksperymentalnego miał wyć o litość i współczucie dla siebie! Oddawna niemi wzgardziłem, tam jeszcze na arenie mej męki — tu zaś, wzniósłszy się nad poziomy nędznych stosunków ludzkich—nie potrzebuję ich tem bardziej. Chodzi mi o to jedynie, aby szczupła ta garstka szlachetnych a nie roznamiętnionych ludzi, gdyż muszą być tacy, skoro Ty, Panie, wśród nich powstałeś, aby szczupła ta garstka „ludzi“ — poznała rozpaczliwą toń duszy współczesnego europejskiego paryasa. Paryas ten wstrętny, muszę to przyznać niestety, w wielkiej większości swojej duszący się w odwiecznym fanatyzmie, częstokroć cierpi jedynie dlatego tylko, że się urodził paryasem, chociażby w niczem innem nie różnił się od kasty go depczącej... Śmiech twierdzić nawet ze stanowczością niezachwianego przekonania, że każde paryasowo niemowlę, przeniesione przez jakąś postępową albo figlarną tylko wróżkę z ojczystego barłogu do czystej kolebki bramina — wyrość by mogło niewątpliwie na bramina.

Pomimo ciągłej walki i wahania rzuciłem oto na papier parę wspomnień z tej jeszcze świeżej a ledwie zabliźnionej przeszłości. Pomijam może wiele najcięższych doświadczeń, najdonioślejszych w znaczeniu, lecz wybacz, Panie — systematycznie, szeroko i porządnie rozranić tej wielkiej blizny nie mogę. Drasnąć tylko jej rąbek — już jest dla mnie ofiarą... Ponieważ wahanie się moje pozbawiło mię w części spokoju, do którego już przywykłom, jak ptak zrodzony w klatce do bezbrzeżnego lasu, chciałem zakończyć je jak najszybciej. Z fatalizmem rodzonego syna wschodu wyznaczyłem sobie dzień decydujący, postanowiłem niezmiennie ulodz nastrojowi dnia tego — i wysłać lub nie wysłać rękopis na ręce Twoje, Profesorze. Chęć zwyciężyła niechęć — niechże więc idzie w świat daleki...

Dla czego teraz zwracam się do czcigodnego Pana, zrozumiesz, zajrzawszy w te papiery. Dlaczego nie zdradziłem swego istnienia ani dźwiękiem, ani nawet

i wolnych wogóle — świątecznych zaś w szczególności. Zniesienie ruchu towarowego w dni niedzielne i świąteczne, oprócz kategoryi towarów szybko psujących się. Urządzenie mieszkań stosownych na stacyach dla wszystkich pracowników, mających do czynienia z ruchem pociągów. Wszelkie środki, zapobiegające przeciążeniu pracą, powinny wynikać z przepisów specyalnych i postanowień. Ponieważ instrukcye służbowe, określające liczbę godzin pracy i wypoczynku, zgodnie z prawem, wcale nie gwarantują wypełnienia tego prawa i mogą być wykonywane z krzywdą dla pracowników, więc zjazd proponuje stworzenie osobnej, specyalnej i niezależnej kontroli.

Norma godzin pracy i wypoczynku, na kolejach żelaznych pozostawia dużo do życzenia nietylko w Rosyi, lecz także w Europie zachodniej i Ameryce. Nie uwzględnia ona wcale ani zdrowia fizycznego, ani potrzeb umysłowych i duchowych. W ostatnich czasach daje się zauważyć pewna dążność do ulg w tej mierze za granicą. Pod względem prawodawstw regulujących pracę i wnikających w jej warunki, najdalej w dobie obecnej posunęła się Szwajcarya. W Rosyi—wnioski godne uwagi i uwzględnienia, opracowali pp. von Wendrych i Ostrowski. Przy określaniu norm nieustającej pracy należy brać pod uwagę: odpowiedzialność, natężenie sił i stosunek roboty faktycznej do czasu spędzanego na służbie. Na takich stanowiskach, gdzie robotnik lub oficyalista pracuje przez cały czas swojej tam obecności, maximum pracy nieprzerwanej nie powinno przewyższać 8 miu godzin. Tam zaś, gdzie robotnik lub oficyalista pracuje nie przez cały czas obecności na stanowisku, tj. gdzie liczba godzin pracy faktycznie jest mniejszą, niż dyżurowania, należy ustanowić wyższe normy roboty nieprzerwanej, nieprzekraczającej wszakże 10—12 godzin. Dla pracowników w kantorach i biurach, gdzie przeważnie są gwałcone najelementarniejsze warunki hygieny, liczba godzin pracy nieprzerwanej nie powinna nigdy przewyższać 6—8.

Chcąc w tej mierze rozpocząć pierwsze kroki reformy, należy, zdaniem zjazdu, stworzyć komisyę rządową, którąby za pomocą piśmiennych oraz ustnych zapytań i badań oficyalistów, urzędników i robotników na wszystkich kolejach w obrębie państwa, zbadała istotny stan rzeczy. Prócz tego, potrzebna jest jeszcze inna komisya tymczasowa, złożona z przedstawicieli różnych gałęzi technicznych gospodarki kolejowej tudzież lekarzy obsługujących te instytucye. Zadaniem jej będzie prawidłowe określenie normy co do godzin pracy dla różnych kategoryj urzędników, oficyalistów i robotników, z uwzględnieniem ich potrzeb najważniejszych. Należy tutaj wziąć pod uwagę także warunki klimatyczne, które na olbrzymich obszarach państwa są niemal tak różnorodne jak na całej kuli ziemskiej.

Co do zadań lekarzy w sprawie traktowania pracowników pod względem przeciążenia, zjazd nakreślił następujące punkty: 1) przeciążenie pracą ze stanowiska naukowego należy zaliczyć do osobnej kategoryi cierpień, notowanych w odpowiednich rubrykach; 2) obowiązkiem lekarzy powinno być obeznanie się z teoretyczną stroną kwestyi „o przeciążeniu pracą wogóle; 3) sumienne rozpoznawanie tego cierpienia, szczególnie w takim okresie, kiedy ono występuje masowo; 4) ostrożne i delikatne traktowanie dyagnostyki przeciążenia w każdym wypadku konkretnym; zarówno w interesie pracowników, jak i obowiązków, przez nich spełnianych. Podstawą rzetelnej dyagnozy powinno być: wyborna znajomość personelu służbowego i norm godzin pracy, określanych przez instrukcye miejscowe i stosowanych w praktyce i wreszcie rzeczywistych warunków, obarczających ludzi nadmierną pracą; 5) prawidłowa klasyfikacya wypadków przeciążenia.

Jak widzimy, zjazd bardzo racyonalnie postawił całą sprawę pod względem teoretycznym i ułatwił tym sposobem drogę do działań praktycznych. Stronę sumiennego traktowania chorych poruszył dość ostrożnie, ale bądź co bądź wyraźnie, aż w dwu punktach obowiązków, zaleconych lekarzom kolejowym. Z tego powodu dodać winniśmy, że wogóle należałoby zmienić system pomocy lekarskiej na kolejach. Dziś ona w znacznej części traktowana jest w ten sposób, że pracownicy cierpiący poważnie, nie udają się wcale do swych lekarzy, lecz idą do postronnych, gdyż tamci, urzędowi, obarczeni pracą, zbywają ich pobieżnie. Znamy takie wypadki, że na podstawie subjektywnych wrażeń chorego, lekarz bez zbadania bliższego pisał receptę na cierpienie żołądkowe, gdy właściwie były płuca zagrożone. Są to, oczywiście, wypadki nie powszechne, ale bądź co bądź, dość częste. Otóż należałoby zwiększyć liczbę lekarzy kolejowych i lepiej ich uposażyć.

STOSUNKI POLSKO-CZESKIE

NA SZLĄZKU AUSTRYACKIM.

Zjechaliśmy dość licznie na uroczystość Palackiego, choć nie należał do naszych najserdeczniejszych przyjaciół. Nie skąpiliśmy „specebów" na bankietach i nie na bankietach, a znana swada galicyjska zajaśniała przy tej sposobności w całej pełni. Kilka przemówień, mniej miłych, słuchaliśmy jednem uchem, wypuszczając je drugiem. Słowem, byliśmy bardzo uprzejmi.

Nie należę do tych, co owo zbliżenie się czesko-galicyjskie chcieliby zupełnie potępić. Owszem, mogłoby ono nam przynieść pożytek, zwłaszcza pod względem moralnym. Znając Czechów lepiej, nauczylibyśmy się może od nich hartu i siły ducha. Ale gdyby też ta miłość mniej posiadała obcesowości! Gdybyśmy też przed włożeniem pierścionków zaręczynowych potraktowali nieco o prozaicznych kwestyach materyalnych?

Zwłaszcza, że między nami a Czechami, już z powodu sąsiedztwa, obrachunki są potrzebne.

Pomijam rozmaite sprawy uboczne

---

zachwyconą i wdzięczną twarzą, gdym słuchał Pana przed kilku laty w H.? Dlaczego? Kiedy w stosunku do mnie byłeś Pan wówczas jedynem źródłem, gaszącem chociaż w części pragnienie moje Ismaelowe?... Dlatego, że dla mnie... oszalałego z męki Ismaela, źródło pańskie zdawało się za skąpe, i nie spostrzegłem go prawie — minąłem je chory i zaślepiony, wpiwszy się zwęglonemi źrenicami w bezmierny obszar pustyni. W wyjątkowych tych dobach byłem już tak skołatany i tak gorączkujący każdą myślą i każdym nerwem, że nie wierzyłem w szczerość i siłę zasad głoszonych nawet przez Pana w kwestyi krwawo mnie obchodzącej. Przypuszczałem, że były to tylko piękne teorye, które by nigdy znieść nie mogły ogniowej próby rzeczywistości, że było to tylko wymuszone i wyrozumowane, lecz nie *odczute* posłuszeństwo szlachetnemu, ale uciążliwemu obowiązkowi wszechludzkiej sprawiedliwości. Zdawało mi się, że ten łudząco szczery brak nienawiści rasowej, wszelkiej podejrzliwości, brak tego... dziedzicznie-odruchowego wstrętu, można było porównać do ziarna wegetującego pod nieco grubszą korą ziemi. Niech jaki pęd złośliwy mocnem uderzeniem korę przebije — ziarno wytryśnie w górę kaskadą łodyg i liści... Dopiero gdy się oswoiłem z nowem swem życiem i zbawieniem, gdy pierwsze niespodziane zachwyty moje przeszły w fazę cichego ukojenia — dopiero wtenczas począłem rozmyślać nad każdym prawie wyrazem, który słyszałem z ust Pana, mistrzu tak wielce chrześciański i tak wielce ludzki. Wczytywałem się w dzieła Twoje, jedną z niewielu pamiątek, które uniosłem z sobą z... hiszpańskiej tej Europy. I oto zwalczać począłem stopniowo swój przesąd nie mniej dotychczas fanatyczny, jak niektóre przesądy tej przodowniczki pseudochrześciańskiej cywilizacyi. Musiałem wreszcie uwierzyć, że w łanach jej szczerozłotych mieszczą się czasem rzadkie.. o rzadkie, plewy!

II.

Zdaje mi się, że każdy człowiek żyjący myślą i sercem, dlatego przeważnie bywa tak nieszczęśliwy i niespokojny, że miota nim bezustannie żądza znalezienia miejsca przeznaczonego dlań na ziemi, objęcia właściwej roli w tragodyi, czy też komedyi życia. Niepokój, czy znajdzie ją kiedy, czy przeczuje i zrozumie — trawi go świadomie lub nieświadomie, opanowywa go coraz bardziej, im dalej posuwa się w latach. Czy zdąży, czy trafi?... I czasem naprawdę znajduje, czasem zdaje mu się tylko, że znalazł, a wtenczas osiąga upragniony spokój lub zadowolenie. Czasem zaś, a nawet najczęściej, dosięgnąć celu nie może, lub mu się zdaje tylko, że nie może — i szuka, szuka napróżno. Poszukiwanie to właśnie staje się źródłem najcięższych zaburzeń ducha...

Co do mnie, byłem podwójnie bogaty pod tym względem. Wykolejeniu memu duchowemu towarzyszyły przyjacielsko rozmaite wykolejenia zewnętrzne takiej natury i mocy, że same przez się pogmatwać mogły najzdrowszy i najoporniejszy duch ludzki. Dzisiaj wydaje mi się cudem prawie, że puściwszy wodze jakiemuś atawicznemu chyba pociągowi, w słabej tylko części wzmocnionemu refleksyą i analizą, znalazłem miejsce moje ziemskie... Znalazłem nawet całą ziemię obiecaną i wzrosłem w grunt jej błogosławiony mocnym korzeniem — dość wcześnie jeszcze, abym mógł zaleczyć przeszłość! Przeszłość ta w ciągu lat kilku była nieustającym biegiem ranionego zwierzęcia pod strzałami myśliwskiej kawalkady i pod oddechem rozwartych paszczy ogarów, ale oto jeleń skoczył cudownie na tak wysoką skałę, że pogardliwie spokoj-

dziś należące może do nieco przedawnionych. Mamy jednak do załatwienia z czeskimi sąsiadami kwestyę narodowościową na Szlązku austryackim.

Nie potrzebuję długo rozwodzić się nad opisem widowni walki. Jak wiadomo, klin ziemi morawskiej rozbija Szlązk austryacki na dwie niestykające się z sobą części. Stolicą północno-zachodniego kęsa jest Opawa, od Szlązka pruskiego odgranicza go rzeka Opawka. Część południowo-wschodnia posiada miasta Cieszyn, Ostrawę, Frydek, miejscowości kopalniane Dąbrowę, Orłową, Karwinę. Od Morawii oddziela tę część rzeka Ostrawica, od Szlązka pruskiego Olza. Obie wpadają do Odry.

Ludność szlązka wynosi 605,649 osób. Z tego przypada na Niemców 300,000, na Czechów 120,000, na Polaków więcej, niż 180,000. Wśród Polaków 70,000 jest wyznania ewangielickiego.

Niemcy szlązcy są stosunkowo skromniejsi od Niemców z innych ziem austryackich. Namiestnicy odznaczają się taktem, Bacquehem, Merveldt, po nich Coudenhove, potrafili zawsze zażegnać spory narodowościowe, bądź w sejmie, bądź za sejmem. Dzisiejszy prezydent krajowy, hrabia Clary-Aldringen, może najlękliwszy ze wszystkich, jakich miał Szlązk, zjednał sobie swą szczerością i poczciwością powszechną sympatyę. Wszystkie stronnictwa chętnie czynią mu ustępstwa, jakich sobie życzy. Temu przypisać należy, że na obecnej sesyi sejmowej sprawa narodowościowa — dziś więcej piekąca, niż kiedykolwiek — nie przyszła pod rozprawy i że nawet niemieccy narodowcy zajęli względem rozporządzeń Badeniowskich stanowisko mniej wyzywające.

Natomiast kogutami bojowymi są tu od lat wielu Czesi.

W czasach mniej znacznego rozwoju narodowego Polaków szlązkich upodobnili oni sobie większość ludności z kawałka opawskiego. Dziś odbić moglibyśmy im już ledwo część tamtejszych mieszkańców, a i to w razie pomyślnych rezultatów w Cieszyńskiem. Tu obecnie ścierają się wpływy polskie i czeskie.

„Podczas gdy Polacy — pisze w czerwcu bieżącego roku korespondent lwowskiego *Słowa Polskiego* — popierają w Radzie Państwa bezinteresownie żądania Czechów co do narodowościowego równouprawnienia; podczas gdy w sejmie szlązkim posłowie polscy tak samo postępują. Czesi na Szlązku dążą więcej, niż do równouprawnienia, bo do rozszerzenia swego wpływu kosztem narodowości polskiej. Pisano już o tem nieraz, domagano się z naszej strony programowego odgraniczenia sfery działania dla czeskiego i polskiego stronnictwa, ale do tego nie przyszło. Przed kilku laty *Narodni Listy* obwieściły światu, że etnograficzna granica Czechów sięga na Szlązku po lewy brzeg Olzy i tego trzyma się każdy Czech, przysposobiając tu teren dla przyszłego królestwa czeskiego. Przywódcy Czechów głoszą pismem i słowem solidarność polsko-czeską na Szlązku, ale praktykują ją w ten sposób, że usiłują zagarnąć nietylko polski niegdyś okrąg opawski, lecz także większą część, polskiego do dziś, wschodniego Szlązka wraz z Cieszynem."

Pionierami tej praktycznej polityki są czescy urzędnicy państwowi wszelkiego rodzaju, adwokaci i lekarze, urzędnicy prywatni przy przedsiębiorstwach przemysłowych, słowem, cała inteligencya czeska, złożona prawie wyłącznie z przybyszów. Każdy niemal z urzędników czeskich jest mistrzem cichej, ale skutecznej agitacyi w interesie swej narodowości. Powoli, ale wytrwale działają wszyscy ku w rozszerzaniu czeszczyzny na Szlązku.

W samym Cieszynie przed dwudziestu laty nie było ani śladu Czechów. Dopiero za rządów Taaffego i Prażaka nasłano nam sporą liczbę urzędników czeskich, a ci rozwinęli agitacyę na wielką skalę. Był między nimi—opowiada wspomniany autor — pewien adjunkt sądowy, który w Cieszynie z pod ziemi Czechów wydobywał. Skojarzył wszystkich starszych i młodszych urzędników czeskich, kupców i rękodzielników, którzy o swem czeskiem pochodzeniu dawno byli zapomnieli, założył dla nich czytelnię pod nazwiskiem „Snaha" i stworzył tym sposobem ognisko dla Czechów tutejszych i w okolicy rozproszonych. W dwa lata później powstała czeska kasa zaliczkowa, a równocześnie osiadł w Cieszynie adwokat czeski z Opawy i przy każdej sposobności występuje z pretensyami swej narodowości. Założono tu także polityczną gazetę czeską, *Noviny Tešinske*, popierającą jak najdalej idące dążenia czeskie we wschodnim Szlązku. Słowem, Cieszyn, który przy ostatnim spisie ludności liczył na 15,000 mieszkańców 7,000 Polaków, a 700 Czechów, staje się powoli wybitnem siedliskiem agitacyi czeskiej.

Jest także rzeczą pewną, że gdyby się Polacy byli nie pospieszyli z założeniem gimnazyum polskiego w Cieszynie, byliby ich uprzedzili Czesi.

Według dzisiejszego stanu rzeczy tylko okręg frydecki jest częściowo zamieszkany przez ludność czeską. Reszta południowo-wschodniego Szlązka, z wyłączeniem napół zniemczonych miast, jest rdzennie polską.

Czesi radziby jednak zdobyć przedewszystkiem pogranicze szlązko - morawskie, czyli powiat frysztacki, a nie pogardziliby i samym Cieszynem. Na pograniczu, gdzie się znajdują kopalnie węgla, w Ostrawie, Dąbrowie, Orłowej i innych miejscowościach, zamieszkanych przez górników, prowadzi ludność polska rozpaczliwą walkę przeciw zaborczym dążnościom czeskim. Liczni urzędnicy czescy kopalń węgla, inżenierowie itd. usiłują tu w urzędach gminnych, szkołach, a nawet w kościołach, zaprowadzić język czeski, co im się po części udaje. Na gospodach i sklepach widać po większej części napisy czeskie. Zawisła od pracodawców i nadzorców ludność polska ulega z łatwością wpływom czeskim i wynaradawia się powoli. Narzekania na przymusowe nieraz czeszczenie w tej okolicy pojawiają się ciągle w naszych pismkach; ale Czesi nie biorą sobie tych skarg do serca, tylko kroczą nieustannie a świadomie dalej, do pożądanego przez się celu.

Rozpatrzmy się szczegółowiej np. w stosunkach Ostrawy i jej okolic.

Z górą czterdzieści tysięcy Polaków zamieszkuje oba brzegi tamtejszej rzeki Ostrawicy. Już od dziesięciu lat dopraszają się poszczególne osobistości czy to polskiego księdza, czy też szkoły, lecz głosy te, niepoparte organizacyą, przebrzmiały bez echa i ucichły.

Pamiętali jednak o nich Czesi, i aby z cyframi w ręku dowieść, jak bezcelowem byłoby słuchanie ich w Galicyi powliczali Polaków ostrawskich podczas spisu ludności do swojej narodowości. Niemal wszyscy ci wyrobnicy i robotnicy, pochodzący często z Galicyi, a nawet z Królestwa i Poznańskiego, nierozumiejąc lakonicznego słowa *Umgangssprache*, podawali wiadomości odnośne na chybił trafił, inni zaś spuścili się na „panów" — jak widzieliśmy — narodowości czeskiej albo niemieckiej. W ten sposób naliczono całe dziesiątki tysięcy Czechów, urodzonych — koło Krakowa, Wieliczki, Niepo-

---

nemi oczami mierzy dziś zdyszanych swych wrogów..

Głównem zboczeniem życia mego było zboczenie od mego ideału życia, z którym długo pogodzić się nie mogłem, marzyciel i szaleniec, kiedym go zbudował w głębi duszy mojej... Skierowawszy swe najgorętsze pragnienia ku niemu, czułem się ogromnie zgnębiony, nie mogąc zadość im uczynić. Dla mnie, aż nadto ziemskiego śmiertelnika, za mało było tylko objęcia królewskiego dziedzictwa nauki Chrystusowej, tylko odczucia i zrozumienia jej, tylko wcielenia w nią zdrowia i życia duszy mojej... tego mi było za mało. Ja — robak ziemski, jak zwykli mawiać święci — i ja za nimi powtarzam, choć tak daleki jestem od świętości, pragnąłbym nadewszystko oczy i uszy ziemskie swoje napawać widokiem i słyszeniem samego Boga-Człowieka. I oto, gdyby mi dano było wybierać, urodziłbym się nie w drugiej połowie wieku XIX i nie w Europie, lecz w Palestynie za życia Chrystusa ziemskiego. Albowiem najwyższym rajem ludzkiego życia na ziemi, a ideałem szczęścia ludzkiego — stało się dla mnie życie człowieka bliskiego boskiemu Mistrzowi — życie Piotrów, Szymonów, a zwłaszcza owego Jana, gorejącego później w ekstazach na Patmosie. . Być uczniem, niewolnikiem Jego... Patrzeć na Niego i słuchać Go... Lecz jabym chyba nie zniósł bezmiaru tego szczęścia... Umarłbym u stóp Jego, nie doczekawszy Golgoty i Pocieszyciela.

Z siłą żywiołową jakąś rwie mi się wyznanie to na usta wobec Ciebie, czcigodnego powiernika mego, Panie; wiem, że zrozumiesz szczerość tych myśli, a fantastyczność marzycielska tych pragnień nie zrazi Cię do mnie. Zresztą jeśli postanowiłem dać Ci się poznać takim, jak jestem—czyż mogłem pominąć ową ogromną tęsknotę za wymarzonem miejscem na ziemi, tęsknotę, która przez całe życie nakazywała mi przynajmniej zbliżyć się do niego?...

Moje wykolejenia realniejszej natury zaczynały się od kolebki. Byłem synem Żydówki, zmarłej w rządowym szpitalu, dokąd ją przeniesiono z ulicy i gdzie skonała, dając mi życie. Ojciec mój nie zdradził nigdy swego istnienia pomimo urzędowych ogłoszeń. Obrzęd chrztu połączył mnie oficyalnie z wielką rodziną chrześciańską, a potem odesłano mię do domu podrzutków. Całkiem przypadkowo więc zostałem gojem i trafiłem do wielkiego, czystego, zimnego gniazda chrześciańskiego — zamiast jakiej prawowiernej nędznej, izraelskiej dziury. Po pierwszym roku pobytu w zakładzie, powinienem był pójść na wychowanie do ludu i wcielić się w obce to ciało ogromne. Lecz tu następuje drugie wykolejenie moje. Niemowlęce życie splata się znowu przypadkowo węzłem najgorętszej miłości macierzyńskiej z życiem kobiety niepospolitego serca i skłonności. Dzięki jej wychodzę znowu z ogólnego toru przeznaczenia.

Nie znalazłszy szczęścia i zadowolenia w małżeństwie konwenansowem i pragnąc zapełnić próżnię macierzyństwa, postanawia ona uszczęśliwić jedną z istot, skrzywdzonych w najświętszem prawie swojem, prawie do macierzyńskiej miłości i opieki. Rys to był charakterystyczny dla całej istoty matki mej przybranej, żony jednego z wybitnych dygnitarzy i magnata prowincyonalnego, że to wybrane dziecię, które miało zastąpić jej własne i rodzone, podniosła jednak z przybytku wzgardzonych i opuszczonych. Wychowaniec jej mógłby przynajmniej pochodzić z „dobrego gniazda" — dziedziczyć miał przecież jej osobistą fortunę, a jeżeli nie tytuł, to przynajmniej nazwisko.

Młoda hrabina wybrała mię spośród licznych kolegów po smoczku i pieluchach

łomic, Tarnowa, Żywca, Suchej, Kalwaryi, Myślenic, Sącza, Jasła itp.

Na szczęście, staraniem kilku obywateli powstała w polskiej Ostrawie w r. 1894 „Czytelnia,“ z zakresem działania na Morawską Ostrawę. Trzeba bowiem wiedzieć, że i we wspomnianym klinie morawskim, w miejscowościach Przywozie, Ligotce, Morawskiej Ostrawie i Witkowicach mieszka przeszło dwadzieścia tysięcy ludu polskiego, którym się nikt dotąd odpowiednio nie zaopiekował. „Czytelnia“ przechodziła rozmaite losy: z początku rozwijała się pomyślnie i liczyła 500 członków, potem rozprzęgła się z powodu wadliwości statutów, dziś podnosi się ponownie. Bez względu na te koleje wywarła wpływ dobroczynny: od czasu wprowadzenia jej w życie słyszy się na ulicach Ostrawy coraz częściej słowo polskie, a już w r. 1896 udało się „Czytelni“ przy wyborach do rady gminnej przepchnąć swego przewodniczącego, inżeniera Schrotta. Inny, inż. Brzezowski, zasiada w radzie gminnej Przywozu, gdzie mieszka około 4 tys. Polaków.

Czasopisma czeskie zajęły wrogie stanowisko względem założycieli „Czytelni,“ a przy jej otwarciu Czesi za pomocą ukrytych machinacyj usiłowali rozbić poczynające się zebranie. Zasługuje także na wzmiankę zachowanie się ich, gdy deputacya „Czytelni“ polskiej zażądała nabożeństwa w języku ojczystym. Czego chcecie? — odpowiedziano jej — jest jeden Bóg czy dla Polaków, czy dla Czechów. Pewien dowcipniś poprosił obecnego proboszcza o wizerunek polskiego bóstwa. Ostatecznie deputacya dosięgła swego.

Gdy „Towarzystwo szkoły ludowej“ z Krakowa zawiązało tu d. 10 maja r. b. Koło miejscowe, Czesi, widząc, że z przeciwnikiem potrzeba się liczyć, zmiękli.

W ostatnim epizodzie mamy morał: Energiczna praca na kresach szląskich jest w danym wypadku najlepszem „przymierzem.“ Da ona więcej, niż popieranie przez Galicyan czeskich dążności do „prawa państwowego.“ W każdym zaś razie w stosunku do drogich teraz naszemu sercu sąsiadów pamiętajmy, że możemy kochać ich jak braci, ale liczyć się z nimi, jak — oni z nami...

W. Bugiel.

FEJLETON

LIBERUM VETO.

Bismarck.

Nie, takiego bohatera historya dotąd nie miała. Gdy wywoływamy z przeszłości i porównywamy z nim inne mary tego samego rodzaju, odbijają się one na czarnem tle jego olbrzymiego cienia jako szare plamy, w których ciemność jest przetkana bladymi promieniami światła. W nich rozpoznać można mieszaninę barw i pierwiastków — on jednolity i jednobarwny. Nazwano go i sam się chętnie nazywał „żelaznym,“ właściwie był to kruszec dla określenia jego natury za miękki i za jasny. Charakter Bismarcka posiadał większą twardość i mroczność, a topliwość tak słabą, że opierał się najwyższym temperaturom ognia uczuć, w których rozpływają się kamienne serca ludzkie. Jeden z dyplomatów angielskich, który go poznał osobiście, opowiada o nim: „Nie widziałem nigdy człowieka tak zupełnie pozbawionego wszelkich uczuć, które mniej lub więcej drgają w każdem sercu, tak ogołoconego z instynktów moralnych.“ Opinia ta, prawie powszechnie wyznawana, nie była ani niesprawiedliwą, ani nawet dla Bismarcka nieprzyjemną. On sam chciał, ażeby go tak określano. Przyznanie mu tego, z czego najwięksi ludzie byli dumni, on poczytywał sobie, jeżeli nie za obelgę, to co najmniej za ujmę. Sprawiedliwość, miłosierdzie, współczucie, wspaniałomyślność, wszystkie najbardziej pożądane i czczone cnoty odtrącał od siebie ze wzgardą jako przesądy. Śmiał się z rozpaczy Thiersa, pragnącego wzruszyć zwycięzców i uzyskać możliwie łagodne warunki pokoju, a wspominając o strasznych chwilach pogromu Francyi, żałował, że jej „za mało krwi upuścił.“ Bez litości chciał rozdeptać jak robaka znakomitego pisarza i chorego starca, Kraszewskiego, za to tylko, że ten doniósł znajomemu kilka szczegółów o armii niemieckiej. Do grobu ścigał okrutnem prześladowaniem dawnego swego przyjaciela, Arnima, za to, że złożywszy urząd ambasadora, zachował sobie kilka listów dyplomatycznych. Niema tak wielkiej zasługi, boleści, godności, przed którąby się cofnął w swej zemście. Zdaje się, że gdyby w poprzek jego woli stanęli wszyscy geniusze, wszystkie zdobycze cywilizacyi, zniszczyłby je z tym samym spokojem i gniewem, z jakim zdusiłby zbrodnię. Między rzeczami i ludźmi nie zachowywał żadnej różnicy, jak piorun, który z równą mocą uderza w wieżę wspaniałego gmachu, w matkę drobnych dzieci, w dobroczyńcę świata, jak w psią budę, kupę kamieni lub w stóg siana. Nikogo nie kochał i przez nikogo nie był kochany: podziwiano go tylko, bano się, a nadewszystko nienawidzono — czem najbardziej się szczycił. „Od Garony do Tybru — rzekł w jednej ze swych mów — nie znajdziecie człowieka, któryby był bardziej — i dodam *z dumą* — serdeczniej ode mnie nienawidzonym.“ Ze szczerym humorem opowiadał, że gdy raz na polowaniu jego „przyjaciel“ wpadł w bagno, z którego nie mógł się wydobyć, on wymierzył ku niemu strzelbę i zawołał: „palnę ci w łeb, ażebyś się długo nie męczył,“ czem przerażony towarzysz dobył resztki sił i wyskoczył z trzęsawiska. Wszystko to, co krępuje wolę człowieka i polityka, a więc zasady, obowiązki moralne, traktaty, było przedmiotem jawnych jego drwin. Gdy mu zarzucano, że zmienił przekonania, śmiał się w parlamencie całem gardłem: „Ależ ja tomu wcale nie przeczę, bo stałych przekonań nie mam i mieć nie chcę. Chcę i mam tylko takie, jakie mi są w danej chwili potrzebne i pożyteczne. Mogę urządzić wyprzedaż po nizkiej cenie dawnych moich przekonań, których obecnie nie używam, mogę je nawet podarować moim nieprzyjaciołom. Będę liberałem, radykałem, konserwatystą, ultramontaninem, jeżeli w tym stroju osiągnę mój cel. Trzymam w ręku busolę, dopóki mnie prowadzi w pożądanym kierunku; gdy od niego zbacza, tłukę ją i biorę inną. Ani brzydota, ani grzechy dyabła nie odstraszają mnie od zawarcia z nim umowy, jeśli ona jest dla mnie korzystną.“

Ktoś kiedyś powołał się wobec niego na przyrzeczenia królów i warunki traktatów. Odparł cynicznie: wszystko to nie warte jest złamanego szeląga. To jest — według niego prawem — co broni siła, reszta — spleśniałe rupiecie sentymentalizmu. Nie mam nawet prawa do własnej ręki lub głowy, jeśli ktoś zdoła mi

---

dlatego tylko, że wydałem się jej niby „milszym od innych.“ Przyzwyczajona do szybkiego zaspakajania swych życzeń, uległa nagłej chęci zabrania mię natychmiast do siebie, zapewniwszy przełożonych zakładu, że po dniach kilku załatwi potrzebne formalności. Wobec wysokiego stanowiska hrabiny — zwierzchność moja dotychczasowa zrobiła chętnie drobne to ustępstwo. Lecz właśnie drobne to nadużycie zarazem zaważyć miało na całej mej przyszłości i wykoleić mię znowu po raz trzeci. — Po tygodniu obcowania z wychowankiem, przyrosłszy już do niego całem sercem (własne wyrażenie przybranej matki mojej), hrabina udała się do dyrektora zakładu, aby podpisać potrzebne dokumenty. Wtenczas urzędnik ten, nieco zmieszany, zakomunikował jej wyżej wymienione dane o mem pochodzeniu, przepraszając, że nie uczynił tego odrazu, gdyż „pani hrabina nie dała mu poprzednio czasu zajrzeć do księgi wpisowej.“

— Obowiązek nakazuje mi zawiadomić o tem panią, dodał po chwili — tem bardziej, że nie jest jeszcze wykluczona możliwość zgłoszenia się ojca, Żyda prawdopodobnie; powtóre że wolałaby pani zapewne dziecko nieżydowskiego pochodzenia, chociaż obecnie jest ono już ochrzczone... Możemy więc natychmiast zabrać je z powrotem, a pani raczy łaskawie wybrać sobie inne...

Hrabina mogła tylko powiedzieć:

— Proszę dziś natychmiast, przysłać po nie kogokolwiek!

I odjechała wzburzona a drżąca, nie chcąc już spojrzeć na inne dzieci dnia tego... nie chcąc już nigdy spojrzeć na nie. Kiedyś, będąc jeszcze chłopakiem, wybrałem sobie w pewnym zakładzie myśliwskim proste szczenię zamiast rasowego, o które mi bardzo chodziło. Omyłka wykryła się dopiero po dniach kilku, ale było mi już tak trudno wypędzić to rozpieszczone stworzenie, aby się poniewierało dzięki swemu „gminnemu“ pochodzeniu, więc zostawiłem je u siebie, chociaż dbałem ogromnie o czystość psiej rasy... Myślę, że hrabina znalazła się w nieco podobnej sytuacyi. Gdy weszła do swej wykwintnej sypialni i spojrzała na tulącego się w puchach i koronkach przy jej łóżku żydziaka, doznała zapewne bardzo dziwnego uczucia... dziwnego aż do bólu. Więc odwróciła się plecami do kolebki— aby nie widzieć, jak dziecko będą zabierali, bo przecież „takiego“ nie mogła zostawić u siebie. Z sercem bijącem chorobliwie oczekiwała krzyku pieszczocha, porywanego brutalnie z roskosznej pościeli, ze snu słodkiego, aby znowu wrzucić do zimnego żłobu tysięcy, który tak często sypie tysiącami grobów.

— No, mały — usłyszała nagle dyskretny, ale wyraźny głos piastunki z domu podrzutków — zrzucajmy z siebie te piękne koszulki i ubranka, mamy tu nasze zakładowe. A tyś to się przystroił we wszystkie te śliczności, prawdziwie jak wrona w pawie pióra!

Nie odwracając głowy, hrabina rzuciła porywczo:

— Nie trzeba, nie trzeba nic zmieniać! Zabierać, zabierać mi go z przed oczu jak najprędzej!

— Chwileczka tylko, wielmożna pani, a sprzątnę tego bębna, aby jej już więcej nie czynił odrazy! — odparł głos sługi pokorny i przymilony.

— Milczeć!... ty, kobieto zła i ograniczona! — zawołała biedna matka moja, gniewnie tupnąwszy nogą i chowając w dłonie twarz zmoczoną łzami. Zatkała uszy i przymknęła oczy, by nic już więcej nie widzieć i nie słyszeć.

Pomimo to „czuła“ śpieszne wymykanie się z dzieckiem powolnej rozkazom jej służącej. Rzuciła się za nimi i wsunę-

je odjąć; natomiast mam prawo włożyć słońce w ognisko mej kuchni, jeśli je zdołam zabrać dla siebie. Życie jest brutalną walką o byt, w której słuszność stoi zawsze po stronie mocniejszego. Kula, która trafia i zabija upolowanego przeze mnie bawołu, wypisuje na nim moje do niego prawo.

Rzecz naturalna, że taki charakter mógł uznawać w świecie jeden tylko pierwiastek godny szacunku — siłę fizyczną. Bismark też był rzeczywistym jej bałwochwalcą. On nawet Boga czcił wyłącznie za wszechmoc, nie za mądrość, sprawiedliwość lub dobroć. Był wiernym poddanym i sługą swego monarchy nie przez miłość, ale przez pokorę wyższej od niego potęgi. Dlatego kpił otwarcie z umierającego Fryderyka, którego się nie bał, a ukorzył się przed Wilhelmem II, który go usunął z urzędu. Z chwilą, w której podczas swych podkopów lub ataków politycznych trafił na niezłomny opór, zaczynał uczuwać uwielbienie. Wiadomo, jak pastwił się nad stronnictwem katolickiem (centrum) w Niemczech, gdy ono było słabe, jak mu publicznie radził, ażeby sobie sprowadziło do Kolonii powaśnionego z Włochami papieża i przekonało się, że on jest również człowiekiem, że „je, pije, śpi i kicha"; ale skoro partya ta w długoletniej walce wzmogła się i wytrzymała wszystkie młoty ustaw majowych, zaczął ją okadzać grzecznościami, szukać z nią przyjaźni, a papieża wybrał na rozjemcę w sporze politycznym o wyspy Karolińskie i zasłużył sobie u niego na order. Przed każdem państwem, które miało wiele wojska, schylał głowę; ale skoro tylko dostrzegł jakiś ubytek w jego potędze, szykanował je bez skrupułu. Posiadał on naturę noża, który przecina wszystko, co rozkroić może i cofa się jedynie przed tem, na czem się szczerbi.

Jak powietrze, pomimo swego rozrzedzenia, przedstawia poruszającym się w niem ciałom pewien opór i wywołuje tarcie, tak również najsłabsze twory, pomimo swej uległości, przeszkadzają objawianiu się i działaniu takiej pochłaniającej i druzgocącej woli. To też Bismarck nienawidził słabych i zwyciężonych. Obrażali go oni samem swem istnieniem, drażnili jego gniew tem, że wolno ginęli. Nie ceniąc i nie czcząc niczego, prócz siły, nie mógł on w nich dojrzeć żadnej innej racyi bytu, prócz stawiania mu drobnego oporu. Na całe narody patrzył tak, jak my patrzymy na kurz, który nie jest groźnym przeciwnikiem, ale swojem istnieniem dokucza: gryzie w oczy, osiada na płucach, zanieczyszcza ubranie i meble, a wciska się wszystkiemi szparami. Zaledwie go zmieciesz, zjawia się znowu. Takim właśnie rodzajem kurzu politycznego byli dla niego Polacy. Kiedy mu prawili o swojej dawnej historyi, kulturze, odrębności, on tak słuchał tych wywodów, jak gdyby mu pył opowiadał o swej dawności, składzie, chwale pokrywania dostojnych ludzi i cennych przedmiotów. Nie posiadając siły, która by mogła przeciwstawić się, stanowili dla niego pył, który go ciągle owiewał tumanem w parlamencie, w prasie, w stosunkach wewnętrznych i zewnętrznych państwa i którego on nie cierpiał. Ponieważ jak we wszystkiem, tak i w nich nie uznawał i wprost nie pojmował żadnych praw do bytu, żadnej konieczności pragnienia życia, żadnych uczuć, dążeń, potrzeb, ideałów, a tylko niemoc, więc ich lekceważył, potępiał, nękał i konające jeszcze się cieszył wiadomościami o prześladowaniu ich w Poznańskiem lub zalecał tępienie. W swych mowach parlamentarnych często powtarzał: „współczucie dla innych narodów jest chorobą." I zarówno w życiu politycznem, jak prywatnem, brzydził się altruizmem, miłością bliźniego, wspaniałomyślnością, jak zarazą. Podczas gdy on zamykał swą duszę przed temi uczuciami, Polacy usiłowali ją ciągle niemi otworzyć i oddziałać zarówno na niego, jak na innych wpływem pierwiastków moralnych, któremi się brzydził. Uważając politykę za ustosunkowanie sił fizycznych, w którem niema miejsca dla żadnych sentymentów, widział w Polakach burzycieli „porządku i równowagi," żebraków politycznych, których kazał uprzątać z widoku publicznego, a których ustawicznie spotykał z wyciągniętemi rękami, obnażających swoje kalectwa, okrzykujących swoją nędzę i domagających się natrętnie jałmużny. Krew z krwi i kość z kości junkrów pruskich, rasy dziwnie barbarzyńskiej, Bismarck nie czuł sympatyi do żadnego narodu, ale przedewszystkiem doświadczał odrazy względem tego, którego istota była przeciwieństwem jego natury, który nosił w sobie, ujawniał i najwyżej cenił uczucia mu obce i wstrętne. Była to nienawiść instynktowa, którą spostrzegamy wyraźnie między odmiennymi gatunkami zwierząt, a która się nieco wyradza śród ludzi, nie traci jednak swego rdzenia.

Rozumie się, podkładem takiego charakteru mógł być tylko bezmierny egoizm. Rzeczywiście Bismarck był nienasyconym egoistą. Gdy jego pałac kanclerski gmina berlińska opodatkowała niewielką sumą, stoczył w parlamencie zaciętą walkę przeciwko temu zamachowi na jego kieszeń. Pamiętną, bo bezprzykładną jest scena, kiedy stary magnat niemiecki, Lewetzow, przyniósł mu 3 miliony marek, zebranych „dla uczczenia twórcy jedności Niemiec na cele użyteczności publicznej" i zapytał, jak tym funduszem rozporządzi: „Za $1\frac{1}{2}$ miliona marek odkupcie mi moje dobra rodzinne — odrzekł Bismarck — a resztę użyjcie na stypendya dla filologów." Lewetzow zdrętwiał ze zdumienia, a tenże sam dreszcz przebiegł całe Niemcy. Może nigdy nie zrozumiano jaśniej, że ten człowiek nie zna sentymentów.

Naturalnie jeśli on nie chciał zamknąć się w sferze życia prywatnego, musiał podnieść swoje samolubstwo do wymagań i warunków roli publicznej. Jakoż stał się bezwzględnym egoistą pruskim. Cechą dzikiej lub barbarzyńskiej hordy jest ograniczanie swoich obowiązków moralnych tylko we własnym obrębie: to, co istnieje po za nią, ma wartość i znaczenie łupu; kradzież, zabójstwo i inne występki wewnątrz gromady, przestają być nimi, a nawet zamieniają się na cnoty, gdy są spełnione zewnątrz niej. Na tem stanowisku etyki pierwotnej stał Bismarck jako polityk pruski. Wszystko, co leżało po za kresami interesów pruskich, a później niemieckich, nie zobowiązywało go do niczego, było zaledwie przedmiotem możliwej lub niemożliwej, pożądanej lub niepożądanej zdobyczy. „Ludy bałkańskie — rzekł on — nie warte są kości jednego grenadyera pomorskiego." A jeżeli dążeniem cywilizacyi jest rozszerzenie wzajemnych powinności moralnych na całą ludzkość, powiązanie jej braterstwem i ogólną sprawiedliwością, to łatwo sobie wyobrazić, jak ono było wstrętnem dla Bismarcka i jak mu przeciwdziałał.

Niestety, z wielkim skutkiem i powodzeniem. Niepotrzeba znać szczegółowo trzydziestokilkoletniej jego niszczącej roboty politycznej, można z jego charakteru odgadnąć, co taki człowiek, opatrzony wielką władzą, żelazną wolą i nieprzerwanem szczęściem, dał Europie? Zakrył jej gromową chmurą słońce, roztoczył nad nią bezgwiezdną noc, którą napełniał

ła do rąk wychodzącej kobiety portmonetkę.

— To dla was... i dla niego, moja kochana — mówiła — był u mnie przez cały tydzień... przyzwyczaiłam się już trochę do niego... i bardzo go żałuję. Dbajcież trochę o niego... Przecież to jeszcze, bądź co bądź, takie niewinne maleństwo...

I zapomniała się, spojrzałą na mnie. Cofnęła się w tył cała drżąca.

— Patrzyłeś na mnie dużemi pięknemi oczkami i cudnie, wesoło się uśmiechałeś, jakby najpewniejszy, że nic prócz szczęścia i pieszczot dać ci nie mogę... Odwróciłam się i uciekłam do dalszych pokojów, bo mię to ostatnie wesołe spojrzenie i ten twój uśmiech gorzej raniły, niż gdybyś krzyknął z całej mocy. Chciałam otrząsnąć się i przezwyciężyć; po chwili zbiegałam szybko ze schodów, pragnąc zapomnieć się w przechadzce i śpiesznym, bezcelowym ruchu. Już zstępowałam z ostatniego stopnia, gdy usłyszałam nagle z niedomkniętych drzwi portyera rozmowę przerywaną cichym płaczem dziecięcym. Zatrzymałam się w miejscu jak wryta.

— Zaraz, zaraz będziemy gotowi! — brzmiał ten sam znany, ten nienawistny głos z przedchwili. — No cicho, cichoż bądź, ty mały parchu! Patrzcie mi go! Panem grafom zachciało mu się zostać!

— Cha, cha, cha! — zawtórował głos mego portyera.

— Dawaj że, dawaj te piękne gałganki! Dla ciebie bo i grube rządowe pieluchy są za piękne i za czyste!

Śmiech się powtórzył, a obok niego rozlegał się głośniej żałosny płacz dziecka i nagle urwał się stłumiony, jak by zatknięto te usta, które go wydawały.

— A cicho, cicho, ty niegodziwy żydziaku! Nie daj Boże usłyszy pani hrabina, a ja tylko chciałam go tu przebrać jak się patrzy...

I oto wyrwany z tych grubych rąk, przyciśniety gwałtownie do piersi więcej macierzyńskiej, niż niejedna macierzyńska może, rozpoczynałem długie samozwańcze szczęście moje — dziecięce i młodzieńcze.

Przybrana matka moja użyła wszelkich starań, aby ukryć przed światem „nikczemne" moje pochodzenie. Porozumiawszy się urzędownie z dyrekcyą domu podrzutków, wydaliła służbę z hojnem wyposażeniem i wyjechała na czas dłuższy do swoich dóbr w innej części kraju. Przywiązywała się też do mnie coraz fanatyczniej, zaspakajając wielkie pragnienie uczuć i obowiązków macierzyńskich, a bacząc przytem trwożnie i zapobiegliwie, aby żadna z „cech rasy" nie rozwijała się w dziecku i nie przebijała na zewnątrz. Było to wielką troską i głównem zadaniem jej życia.

Co do mnie, wiedziałem, że jestem przybranym synem i wychowańcem, lecz byłem przekonany, że należę do jednej z nią narodowości i sfery towarzyskiej. Hrabia, mąż mej opiekunki, dyplomata przebywający przy jednym z dworów zagranicznych, bez trudności też przystał na uznanie mię prawie urzędowe za swego syna, tem bardziej, że syn jego własny z pierwszego małżeństwa, podówczas młodzieniec siedemnastoletni, dziedziczył po nim dobra rodowe, tytuł i wszelkie splendory.

A więc zdawać się mogło, że szczęśliwie, a nawet cudownie wykolejony dzieciak, wstąpił na gładki, usłany miękkimi kobiercami szlak życia, następnie przebiegał go lekką stopą młodzieńczą przez długi szereg lat.

(C. d. n.).

niedolą, męczeństwem, nędzą, jękiem, rozpaczą, strasznymi snami i pragnieniami doczekania świtu. Te widma staną najbliżej jego trumny i odbywać będą ciągły sabat na jego mogile.

Poseł Prawdy.

LITERATURA I SZTUKA.

PSYCHOLOG MAS LUDZKICH.

I.

Treść utworów z biegiem czasu zaciera się w umyśle: nazwiska idą w niepamięć, osoby drugorzędne, później zaś i pierwszorzędne zanikają. Coś jednak pozostaje — to coś, co stanowi jądro utworu i rozstrzyga o jego fizyognomii, to wreszcie, co weszło z niego do naszej wyobraźni, jako trwała cegiełka gmachu naszych wyobrażeń i wzruszeń. Pragnąc przedstawić duchowość pewnego pisarza, właśnie z takich ostatków powinniśmy czerpać farby do jego charakterystyki, tylko wtedy bowiem zdolamy odróżnić zasadniczo pierwiastki od pobocznych w jego twórczości, tj. zrozumieć go.

Zastosujmy taką metodę do Zoli, tj. do tych utworów jego, które można uważać za najudatniejsze i zarazem najbardziej indywidualne płody jego ducha.

Olbrzymi magazyn sprzedaży detalicznej w Paryżu. Ogromna to maszyna społeczna, działająca pod wielkiem ciśnieniem, pełna życia i gwaru, nowych wzorów i porządków. Bezimienny ten potwór rozrasta się, pod cieniem jego murów giną stuletnie, wyspecyalizowane firmy, zakłady rzemieślnicze, mniejsze sklepy handlu drobiazgowego. Rzekłbyś: ogromne drzewo jadowite, zatruwające swymi oddechami wszystko dokoła. Współzawodnicy, wychowani w dawnych zasadach, nie pojmują, że stosunki uległy zupełnej zmianie, że wielkie miasta pchają handel w kierunku nowych wzorów. Z nienawiścią spoglądają na magazyn nowości, wciąż pęczniejący w wymiarach; stojąc przed sklepami swymi, wpatrują się w te okna, z których światło tryska ku wieczorowi potokami, w te drzwi, przez które tłumy przelewają się: wygrażają pięściami, póki jeszcze posiadają odrobinę nadziei, później zaś jak ptaszyna w oczy węża, tak oni w osłupieniu nie mogą odejść od olbrzyma, który ich zrujnował. A potwór wciąż rośnie i rośnie, oparty na wyzyskiwaniu wiekowych kaprysów kobiety. Wzbudził on w jej jaźni nowo pożądania, zbudował dla niej nowe pułapki, w które niebaczna wpada jako dobra gospodyni, niemogąca przepuścić okazyi taniego kupna, lub jako kokietka, niezdolna przezwyciężyć pociągu do fatałaszów i gałganków. Demokratyzuje on zbytek, wzmaga szaleństwa mody, kilkakrotnie podnosi budżet domowy, niszczy pożycie małżeńskie, stwarza nowe chciwości i nowe zbrodnie. Taniość towarów, świeżość pomysłów, żądło kokieteryi pociągają kobietę do tych jaskiń nowoczesnych i zmuszają pozostawiać tam zarobki męża i pieniądze kochanka. Obroty magazynu rosną, rozmiary wydłużają się, cień zaś jego coraz ciężej kładzie się na sąsiadów-współzawodników. A we wnętrzu jego panuje zwarta organizacya. Są to olbrzymie koszary, urządzone hierarchicznie, w których każdy chudopachołek ma otwarte pole do najwyższych stanowisk, byleby na nie umiał zasłużyć.

Oto tło jednego z obrazów. Ktokolwiek choć raz jeden miał w ręku *Au bonheur des dames*, ten nie tak łatwo pozbędzie się wspomnień o scenach, jakie Zola przed nim roztoczył. Ludzie, jako ludzie, zacierają się w pamięci, bo w utworze powieściopisarza francuskiego występują oni jako żywe wcielenie walczących interesów, masowych prądów lub zajmowanych stanowisk. Ci, którzy pracują w magazynie, tracą swoją indywidualność: „Pod przygniatającym ciężarem trzynastu godzin pracy nie myślano tam o czułościach — ani mężczyzni, ani dziewczęta nie mają na to czasu. Walka nieustająca o złoto zatarła różnicę płci, a gdyby tego nie było dosyć, to już krzątanina, zapychająca głowy i męcząca członki, zabiłaby ją. Wszyscy byli tam tylko trybami, działającymi pod wpływem tej samej maszyny, pozbywającymi się własnej osobowości, dodającymi tylko swoje siły w tej banalnej i potężnej całości falansteru." Namiętności ich i instynkty, uczucia i pomysły wewnątrz zakładu, pochłaniającego dnie ich żywota, to tylko brzęczenie i zawodzenie kółek i trybików wielkiej maszyneryi — kółek podrzędnych, nieogarniających masą swoją całości magazynu, tylko nawzajem potrącających się i scierających. I nawet po za obrębem falansteru kapitalistycznego zmora jego ciąży nad ich duchowością. Psychologia olbrzymiej rzeszy sąsiadów-kupców to znowu tylko psychologia ludzi, ginących w walce rozpaczliwej z kolosem, który odbiera im kupujących. Są oni jakby zahypnotyzowani: olbrzym wżarł się we wszystkie komórki ich mózgu, stanowi treść wszystkich ich rozmyślań, zabarwia swoją obecnością nawet chwilę odpoczynku i wczasy. On to kształtuje ich uczucia, emocye i marzenia: widzimy gniazda patryarchalno-kupieckie, ich powolną ruinę finansową, wreszcie śmierć pod gruzami dawnego dobrobytu, pogrzeby bankrutów, na które te tak niesforne, rozstrzelone żywioły stawiają się gromadnie — to protest przeciw potworowi! —, nawet zawody miłosne, bo młode pokolenie, pociągnięte przepychem magazynów, zaniedbuje swoje narzeczone w ciemnych sklepach i szuka tam przedmiotu dla uczuć swoich. Wreszcie i psychologia kobiet kupujących — to psychologia namiętności, stworzonych przez istnienie olbrzyma i nagromadzone tam zbiory świecidełek i gałganków.

W obrazach, które odgrzebuję w pamięci swojej, nadaremnie szukam rysów osobistych pojedynczych bohaterów, uczuć silnie wyodrębnionych! Nie, niema tam prawie zupełnie takich postaci, są tylko ludzie-schematy, ludzie-kółka. W głębi sceny, jako zasada ruchu i życia, istnieje olbrzymia maszyna społeczna, działająca pod wielkiem ciśnieniem i posługująca się nami, śmiertelnikami, jako swemi mięśniami, językami, mózgiem.

Inny obraz — na równinach Beauce. Wszędzie naokoło sieją, coraz inni i inni, aż tam w odległości malejące postacie zlewają się i zbliżają pod wpływem perspektywy, jak topole wzdłuż drogi. Wszyscy siewcy rytmicznie wykonywają to same ruchy, rzucając ziarna do gleby. Zdaje się, że cała równina drga, zapładniana takiem rytmicznem poruszaniem ręki. Każda drobna działka ma swego zapładniacza. Powiedziałbyś: gromada rozproszonych mrówek, pracujących nad ogromnem mrowiskiem. Ziemię tę obsiedli włościanie, od praojców przyzwyczajeni cenić każdą piędź ziemi-żywicielki, od której cały ich dobrobyt zależy. Kochają ją jako kochankę, którą i dla której mordujemy. To przywiązanie góruje nad wszystkiem, nad miłością dla żony, dzieci. Człowiek robi ziemię, powiada przysłowie miejscowe: gleba urodzajna, ale wymagająca nieustannego wysiłku, uczyniła Beauceróńczyka ołłodnym i rozważnym, znającym jednę tylko namiętność — własności ziemskiej. Istota ludzka wrosła tam w glebę z ograniczoną a jednak żywotną uporczywością drzewa. Żywicielka, pod wpływem rutyny włościańskiej, ulega wyjałowieniu, produkty zamorskie wywołują zniżkę cen na zboże. Włościanin nie pojmuje tych potęg, które go przygniatają: wkłada do gleby coraz więcej wysiłku, staje się coraz oszczędniejszy i za grosz gotów jest popełnić zbrodnię. Duch jego nikczemnieje, jak rola wyjałowiona, dająca coraz więcej kąkolu. „Jesteście rasą skazaną — wymyśla im będzie nauczyciel wiejski — zwierzęce przywiązanie do gleby was pożarło, tak! do piędzi gleby, której jesteście niewolnikami. Ziemia to odebrała wam rozum, choć dla niej dopuszczacie się zbrodni! Od wieków wzięliście ślub z glebą, a ona wam przeniewierza się. Spojrzyjcie na Amerykę, tam uprawca jest władcą ziemi. Żadna więź go nie trzyma, ani rodzina, ani wspomnienia! Gdy pole zostaje wyjałowionem, wędruje on dalej. Jest wolny, mienie jego podwaja się, wy zaś, niewolnicy, zdychacie w nędzy!"

I znowu niema indywidualności ludzkiej w tych obrazach, które odgrzebuję. Jest człowiek-schemat: ojcowie, którzy ze ściśniętem gardłem, w głuchej wściekłości, dzielą na starość ziemię pomiędzy dzieci, dzielą ją zaś dlatego, że serce im pęka z rozpaczy, iż nie mogą uprawić gleby należycie; matki, głupie i ograniczone w gospodarstwie domowem, zamienione na rodzaj łagodnego, pracowitego bydlęcia, drżące na głos męża; kochankowie i kochanki, nieidealizujący uczuć i patrzący na instynkt swój jako „na naturę." Ludzie żyją tak i umierają, kochają się i krzywdzą, mordują i okpiwają, jak ziemia im każe: ich wzruszenia i pomysły są z niej czerpane, ich sympatye i nienawiści pochodzą z tego samego źródła. Są to znowu ręce, języki, mózgi uprawnej macierzy-ziemi w pewnym okresie społecznym — okresie drobnych parcel włościańskich.

I takimi, jak dwa powyższe, są wszystkie najgłówniejsze utwory Zoli. Przed nami olbrzymi mechanizm rektyfikacyj spirytusu, zatruwający okolicę swoimi wyziewami i zamieniający pracowitych i oszczędnych robotników na rozpróżniaczonych opojów; gdzieindziej kopalnia węgli, stwarzająca dwa walczące i nawzajem niezrozumiejące się obozy — akcyonaryuszów i robotników, każdy obdarzony odpowiednimi instynktami, poglądami i duchowością klasową; to znowu hale paryskie z górami warzyw i jarzyn, albo giełda z jej machinacyami i spekulacyami. Zawsze i wszędzie ludzie są tylko narzędziami, za pośrednictwem których i w których te istoty społeczne — fabryki, kopalnie, giełdy, hale, ziemia, ocean — żyją, rozwijają się i potężnieją, dopełniają swego zadania społeczne. Po przeczytaniu takiego utworu, jak *Zbrodnia i kara* Dostojewskiego lub *Zatone dusze* A. Garborga, w naszej wyobraźni pozostają ludzie, i tylko ludzie, z ich duszą indywidualną. Otoczenie społeczne, warunki bytu, przyroda są tam jedynie dodatkowemi, podrzędnemi akcesoryami, niezbędnemi tylko, bo bohater, nawet najbardziej zindywidualizowany, musi przecież żyć w społeczeństwie. Te dodatki zanikają naprzód, gdy treść utworu zacznie zacierać się pod działaniem czasu. Natomiast cierpienia pojedynczych osób i ich fizyognomia duchowa, takiej Soni lub Fanny, występują na plan pierwszy — przytaczam nazwiska, bo osoby tam są tak „osobiste," że trzeba je nazywać według imienia. I nawet gdy nazwiska wywietrzeją z pamięci, gdy ulotnią się inne szczegóły, przecież drgania i smutki, radości i ekstazy duszy indywidualnej zatrzymują swoje piętno charak-

terystyczne. Czujemy apatyę, ogarniającą bohatera tylko dlatego, że tak a tak nazywa się, że spotkał się z taką a taką kobietą w taki a taki sposób. Przypadek ich sprowadził razem, przypadek rozdzielił, ale stosunek wzajemny przedtem i potem zależy od ich natur. Nie są to manekiny, ani schematy, tylko ludzie żywi, wyodrębnieni od innych dla swego charakteru. W utworach Zoli, przynajmniej najważniejszych, bywa inaczej. Człowiek jest tam w wątku powieści rzeczą poboczną, akcesorya społeczne i przyrodzone zaś — sprężyną działań, nakazującą istocie ludzkiej w pewien sposób czuć, kochać, cierpieć. W ostatniem dziesięcioleciu rozpowszechniło się pojmowanie procesów dziejowych, jako dzieła żywiołowo rozwijającego się podłoża interesów materyalnych, idei jako sformułowania potrzeb rzeczowych, wreszcie klas społecznych, jako aktorów historyi. Powieści Zoli stanowią jakby beletrystyczną ilustracyę takiego poglądu na więź społeczną. Pojmowanie takie natury społeczeństwa wepchnęło historyozofię na drogi bardzo wydajne, choć niekiedy niebezpieczne, bo na nich łatwo uledz schematyzmowi i doktrynerstwu. W beletrystyce ono jest jeszcze niebezpieczniejsze, bo skłania autora do zbytniego upraszczania dusz ludzkich, do odrzucania z nich złożonego mechanizmu nastrojów i ideologii uczuciowej.

K. R. Żywicki.

JESZCZE O DRAMACIE.

Wykazaliśmy niedawno na tem miejscu *), iż określenie zasadnicze teatru, które Faguet daje w ostatniej swej książce. „Drame ancien, drame moderne," jest błędne. Po za tem należy jednak przyznać, iż analiza teatru w jego historyi rozwoju, dokonana przez krytyka, jest doskonała, tylko może nazbyt oderwana. Autor, zapatrzony w psychologię rasową, żadnej prawie uwagi nie zwraca na warunki społeczne. Przedstawimy tu jego poglądy z odpowiedniemi uzupełnieniami.

Faguet bada historyę rozwoju dramatu w trzech jego głównych formach: teatru greckiego, angielskiego i tragedyi francuskiej. Ta ostatnia stanowi główny przedmiot jego studyów. Zapytuje on z początku, jaką przyjemność znajdują Francuzi w teatrze. Żeby odpowiedzieć na to pytanie, poddaje rozbiorowi ich duszę rasową, pierwotną i znajduje w rezultacie, iż jest ona nadzwyczaj mało poetyczną, a natomiast nader skłonną do moralizatorstwa, zakochaną w jasności, porządku i logice. Prawda, iż wieki średnie, rycerskie i mistyczne z jednej strony, a Renesans pogański z drugiej, wniosły do ducha pierwotnego Francuzów czynniki nowe, ale zasadniczo go nie zmieniły. Przyszczepiły mu tylko zmysł piękna i poczyi o tyle, iż stał się zdolnym wyczuwać je w utworach narodów cudzoziemskich.

Dla lepszego scharakteryzowania teatru francuskiego, Faguet zapytuje naprzód, czem powinien być teatr wogóle i jakie miejsce on zajmuje pośród innych sztuk. Znane są od czasu Lessingowego „Laocoona" granice, jakie rzeźba, malarstwo, poezya i muzyka spotykają w swych środkach wykonania; nie mogą one granic tych przekroczyć pod karą wynaturzenia i upadku. Faguet jednak godzi te sztuki i uzupełnia w sztuce najwyższej, która jest wspólną ich syntezą, w teatrze. Geniusz dramatyczny przedstawia więc najwyższy stopień syntezy artystycznej. Swoją drogą geniusz jest tylko wyrazicielem narodu; synteza, której on dokonywa, nie może przekroczyć tych czynników psychicznych, które w rasie samej są już zawarte. Dlatego też Faguet stara się objaśnić losy dramatu francuskiego właściwościami duchowemi Francuzów.

Nic słuszniejszego, ale należy jeszcze zwrócić uwagę na to, iż same te właściwości znajdują się w różnych momentach rozwoju historycznego. Shelley twierdzi w swej „Defence of Poety," iż stosunek wartości poetyckich i społecznych jaśniej występuje w dramacie, niż w każdej innej formie utworów literackich. Nie da się zaprzeczyć, iż najdoskonalsza forma społeczności ludzkiej odpowiadała zawsze najwyższej doskonałości dramatycznej, a zepsucie lub zanik dramatu u narodu, który go niegdyś posiadał, świadczy o zepsuciu obyczajów i wygaśnięciu energii, która podtrzymuje duszę społeczną." Istotnie, teatr powinien być nietylko dziełem genialnych artystów, łączących w jednej potężnej syntezie wszystkie sztuki, ale jednocześnie skupiać wszystkie tętna życia społecznego.

Takim ma być teatr idealny, który nigdy prawie urzeczywistnionym nie był, z jednym wyjątkiem: Grecyi starożytnej, która nadzwyczaj do ideału tego się zbliżyła, tworząc całość harmonijną. Dlatego też teatr grecki był najdoskonalszym i najwznioślejszym objawem poezyi w ludzkości. Faguet słusznie napiera na tę okoliczność, której narody nowożytne, a zwłaszcza Francuzi, nie są w stanie zrozumieć: u Greków dramat, inaczej mówiąc akcya, jest tylko jednym z czynników całości, która obok niego zawiera jeszcze części liryczną, muzyczną i plastyczną. Gdy krytyka nowożytna zbita jest z tropu długością tragedyj greckich i skarży się na mnóstwo „niepotrzebnych" epizodów, opowiadań i opisów, które przeciągają i opóźniają akcyę, wówczas zapomina ona zupełnie o punkcie widzenia Greków; dla nich zagadka zawarta w epilogu tragedyi miała tylko znaczenie drugorzędne, obok przyjemności płynących z pięknego języka i z harmonijnych efektów plastycznych.

Uważając teatr grecki za idealny, najwyższy, jaki ludzkość znała, Faguet w zupełności go odrywa od warunków historycznych i społecznych, śród których powstał. Bez wątpienia Grecy byli jedną z najdoskonalszych ras ludzkich i nie byłoby dziwnem, że dali najwyższą syntezę artystyczną. Ale zważywszy na to, iż Anglicy z czasów Shakespeare'a, a może i dotychczas Grekom pod względem rasowym nie ustępują — jeżeli zresztą nie przedstawiają, jak niektórzy badacze przypuszczają, tożsamości — to powstaje pytanie, czemu oni z obszernej syntezy greckiej wypuścili część liryczną, muzyczną i plastyczną? Czyżby do tak olbrzymiej już nie byli zdolni? Być może, ale sądzimy, iż mamy tu raczej skutek zmienionych warunków społecznych, dalej posuniętego podziału pracy.

Przypuszczenie to tem bardziej jest usprawiedliwione, że wszystkie ludy pierwotne, nawet stojące pod względem rasowym dość nizko, mają w swych misteryach artystyczno-religijnych zarodki syntezy, którą nam teatr grecki przedstawia. W dramacie pierwotnym taniec, muzyka, mimika i śpiew pomieszane są społem, przyczem zauważyć można, iż w śpiewie chóralnym wyrazy mają znaczenie drugorzędne, symbolizm tańca i ruchów jest prawie wszystkiem. Przyczyn tego zjawiska należy szukać w warunkach pożycia społeczeństw pierwotnych: w rozwoju mowy. Ta ostatnia przedstawiała początkowo zlepek nader złożony mimiki, dźwięków i tonów. Była to całość, która tylko powoli, z biegiem czasu, zaczęła się różniczkować na trzy odrębne dziedziny. Pierwiastek muzyczny dotychczas gra wybitną rolę w mowie Chińczyków, a mimika tak jest niezbędną Buszmanom dla porozumienia się, iż po ciemku rozmawiać nie potrafią. Idealna harmonia wszystkich sztuk w teatrze greckim ma swą wartość w komunalnej wartości i niezróżniczkowaniu pierwotnego życia ateńskiego. Później pod wpływem nowych idei, które przybyły od wschodnich jończyków, a także pod wpływem postępu materyalnego, rozwinęła się za czasów Peryklesa większa niezależność osobista. W tom starciu dawnych i nowych kierunków społecznych odbył się przepyszny rozkwit teatru greckiego. Ani czysty socyalizm pierwotny, ani późniejszy wygórowany indywidualizm nie były gruntem odpowiednim do rozwoju dramatu. Dodajmy, iż dla dokonania tak wspaniałej syntezy, jaką nam teatr Eschylosa i Sofoklesa przedstawiają, trzeba było nietylko szczęśliwego zbiegu warunków społecznych, ale także obecności rasy, która takich geniuszów wydać mogła. Upadek późniejszy teatru greckiego pochodzi nietylko od wybujałego indywidualizmu, który położył koniec pojedynkowi myślenia egoistycznego z altruizmem, na korzyść pierwszego, ale także z obniżenia rasy, skutku doborów społecznych. Rozpoczął się okres „oligantropii." Na wszystkie te warunki Faguet, niestety, żadnej nie zwraca uwagi, pozostając wciąż w dziedzinie abstrakcyi.

Po tragedyi greckiej, która jest tylko epizodem epicznym, wyniesionym na scenę i otoczonym całością wszystkich sztuk połączonych i zharmonizowanych, teatr się rozdrobnił i utracił dawną swą jedność. Anglicy np. wyrzucili z pięciu środków, używanych przez teatr grecki, aż trzy: liryczny, plastyczny i muzykalny. Natomiast rozwinęli dwa pozostałe, epiczny i dramatyczny. Grecy skupiali intrygę w jednem ognisku, otaczając ją ramami sztuki niesłychanie bogatej, które ją wywyższały i upiększały. Dramaturgowie angielscy z wieku Elżbiety wprowadzili natomiast różnobarwność do samej intrygi szeregiem wypadków zawikłanych, o kształtach wciąż zmiennych. Natomiast pozostawili na uboczu piękno i korzyści pośrednie płynące z sztuk pomocniczych.

Faguet znowu zadawala się tylko zaznaczeniem faktu. Objaśnienia jednak należy szukać w olbrzymiem zróżniczkowaniu społecznem: Grecya klasyczna była daleko bliższą pierwotnego zespolenia wszystkich środków mowy i ekspresyi, niż Anglia nowożytna. Zresztą życie, które płynęło w Londynie za czasów Elżbiety, było zupełnie odrębnem od tego, jakie widzimy w Atenach, za czasów Peryklesa. Zamiast niczem, oprócz wszechstronnej kultury swej osobowości, niezajętych patrycyuszów, ogładzonych, wyrafinowanych i uczonych Greków, mamy w Londynie do czynienia z kupcami, przemysłowcami i wogóle ludźmi zawodu. Podział pracy posunął się nadzwyczaj daleko. Nie było już wcale subtelnych dyletantów, którzyby mogli ocenić ozdoby muzyczne lub liryczne dramatu; co się tyczy części plastycznej, to była ona niezbędną dla Ateńczyków zajętych gimnastyką i wciąż dbałych o piękno swych póz, ale pod mglistem niebem Anglii, dla tych kupców i rzemieślników, elegancya ruchów była zbytkiem zupełnie niezrozumiałym.

Takaż sama zmiana odbyła się w charakterach, które w teatrze greckim były proste: osoby działające wystawiały jedną tylko stronę swej duszy, jedną namiętność, która była potrzebną dla wywołania w widzu wzruszenia estetycznego. Wszystkie zaś charaktery wyprowadzone współdziałały dla wywołania efektu

*) „O dramacie," *Prawda* z r. b.

całkowitego. Tak na płaskorzeźbach, w grupach tworzonych przez osoby, spostrzegamy u każdej tylko jedną stronę, jedną piękną linię świetlną.

Anglicy natomiast wyprowadzają charaktery zupełne, w całej ich złożoności i powikłaniu. W „Juliuszu Cezarze“ w „Antoniuszu i Kleopatrze“ Shakespeare, stara się nawet przedstawić całą epokę, cały naród, żyjący w ciasnych ramkach dramatu, który w ten sposób zachował swą stronę epiczną. Inaczej mówiąc, teatr angielski rozszerzył niesłychanie treść dramatu, uprościwszy, o ile można było, środki ekspresyi. Życie nietylko się zróżniczkowało w przeciągu czasu, oddzielającym Ateny Peryklesa od Londynu Elżbiety, ale się także pogłębiło. Jeżeli Grecy klasyczni byli wszechstronniejsi od Anglików z epoki Odrodzenia, to ci ostatni byli daleko głębsi. Za przykład może służyć różnica pomiędzy Orestesem a Hamletem: jest to ten sam typ psychiczny, tylko że tam mamy go jeszcze w zarodku, tu zaś w pełnym rozkwicie dojrzałości. Epiczna zaś strona dramatu angielskiego objawia się szerokim, bohaterskim polotem epoki Renesansu, oddalonemi odkryciami i podbojem nowych lądów. Swoją drogą pomiędzy rozkwitem teatru greckiego a angielskiego istnieje—jak to wykazuje Posnett — zasadniczy rys wspólny w warunkach, które łączyły i tu i tam sprzeczne dążności życia społecznego i indywidualnego, nie dając żadnemu z nich przewagi. Wybujały późniejszy indywidualizm był w jednym i drugim wypadku źródłem zaniku teatru.

Tragedya klasyczna francuska wyrzuca z dramatu nietylko wszystko to, co Anglicy zeń wyrzucili, lecz z pomiędzy dwu części, epicznej i dramatycznej, które oni zachowali, pozostawia tylko tę ostatnią. Pozbawiony wszystkich swych upiększeń i całej swej żywszej rozległości, teatr sprowadzony zostaje do jednej tylko akcyi, do zwykłej intrygi, która zostaje założoną, rozwiniętą i zakończoną w przeciągu pięciu aktów. Kadry te wydają się zbyt ciasnymi w teatrze angielskim, gdyż muszą zawrzeć taką moc rzeczy, natomiast są zbyt szerokie w francuskim, który z całego dawnego bogactwa nie prawie nic zachował. Stąd pochodzi konieczność rozsnucia artystycznego intrygi, jakie nam dają Corneille lub Racine, w celu utrzymania w napięciu ciekawości widza. Stąd wzrost stopniowy siły efektów aż do zakończenia, które jest jednocześnie i całkiem niespodziane i zupełnie logiczne.

Smak piękna jest główną podstawą teatru greckiego, dramat angielski ma za ideał przedstawić realny obraz życia, zaś tragedya francuska ma na celu pobudzać ciekawość czytelnika. Ten wzgląd określa jej charakter, rozwój i kompozycyę. Akcya musi być prostą nie dlatego, iż tak chce, jak u Greków, estetyka, ale dlatego, iż ciekawość nie lubi nigdy się rozpraszać na kilka różnych przedmiotów jednocześnie. Ale ta jedna intryga musi być w rozwoju swym rozłożona na czas dłuższy, gdyż ciekawość, jeżeli bardzo łatwo się obudza, to natychmiast się uspokaja, jak tylko mamy rozwiązanie zagadki. Wszystkie czynniki dramatu muszą być zawarte w ekspozycyi, gdyż trzeba od początku wskazać wszystkie sprężyny akcyi, wszystkie warunki i zadania i wszystkie posyłki sylogizmu.

Teatr francuski zamienił się istotnie, jak krytyka już oddawna, nawet w w. XVIII wskazała, na sylogizm. Oto co naród o umyśle żywym, jasnym i dowcipnym, ale pozbawiony poczucia artystycznego i zamiłowania piękna, jak Francuzi, zrobił z tego idealnego ucieleśnienia poezyi, jakiem była tragedya grecka.

Ale Francuzi są nietylko zamiłowani w logice, oni są jednocześnie moralistami. Chcą więc, aby teatr zawsze czegokolwiek dowodził. Scena jest dla nich szkołą, albo też trybuną. Oni nie bawią się pięknem swych rozumowań, jak to czynili niegdyś sofiści greccy, lecz dążą wprost do jakiejś tezy, do prawdy praktycznej. Dlatego też poeta musi jednocześnie i zręcznie prowadzić swą intrygę, aby ona dążyła bez przerwy do swego końca, nie nużąc uwagi widza, nie zatrzymując się na żadnych ozdobach, opowiadaniach, epizodach lub częściach lirycznych i zarazem dawać po drodze morały i nauki, które mogłyby być przydatnemi w życiu. Dlatego też arcydzieła tragedyi francuskiej są cudami kompozycyi i zręczności, a ich bohaterowie — doskonałymi mówcami, którzy wiążą swe rozumowania z prawidłowością doskonałych adwokatów. I nareszcie, aby pogodzić te dwa dążenia, często sprzeczne, gdyż moralizatorstwo mogłoby zwolnić bieg akcyi, pisarz skupia swe nauki w krótkich i dobitnych aforyzmach, w przysłowiach, które zarywają się nakształt strzał w pamięć czytelnika.

Dodajmy wreszcie od siebie, że właściwości tragedyi francuskiej objaśniają się nietylko charakterem rasy, ale także warunkami społecznymi, a mianowicie centralizmem, monarchizmem. On to zasklepił dramat w analizie warstw wyższych, on wprowadził do teatru etykietę czysto dworską. On wreszcie wprowadził powierzchowne naśladownictwo klasycyzmu. Symetrya formy, panująca w tragedyach Sofoklesa i Eurypidesa, wydawała się najodpowiedniejszą dla oddania tej sztucznej atmosfery, którą oddychało wszystko, co otaczało Ludwika XIV.

Dr. L. Winiarski.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

HISTORYA. „Dzieje powszechne ilustrowane,“ z. 213—216.

ENCYKLOPEDYA — „Rolnicza,“ z. 77 (Owce).

— Orgelbranda, z. 39 (Bolońskie).

— Arcta, z. 32 (Zamrocznia).

HISTORYA LITERATURY. „Obraz literatury polskiej w streszczeniach i wyciągach,“ z. 15.

POWIEŚĆ. A. Dygasiński: „Szelągi kieleckie,“ zbiór nowel, dwa tomiki. Kielce, nakład Żelichowskiego, cena 45 kop.

POEZYA. S. Koszutski: „Z bólów duszy“ (30 str., 40 kop.).

MNEMONIKA. P. Kalina: „Nowa mnemonika,“ czyli nauka wzmacniania i kształcenia pamięci — (78 str.).

MEDYCYNA. A. Grosglik: „Ciepłota mózgu i jej związek ze zjawiskami psychicznemi“ (14 str.).

PRAWOZNAWSTWO. M. Ostrogski: „Kobieta a prawo publiczne“ (dzieło uwieńczone nagrodą wydziału prawnego uniwersytetu paryskiego), przeł. z francuskiego Z. Poznański (188 str.).

HUMORYSTYKA. „Co mówi Walenty?“ Odbitka z *Muchy*. Monologi stróża, zawierające nieraz dowcipną i trafną satyrę.

ROCZNIK Towarzystwa osad rolnych za r. 1896 i 1897.

SPRAWY EKONOMICZNE.

Gospodarstwa Włościańskie

I REFORMY ROLNE W GALICYI.

I.

Gdy przed laty kilkunastu Stanisław Szczepanowski cyframi wykazywał nędzę wieśniaka galicyjskiego, było to dla społeczeństwa prawdziwem odkryciem. Obnażenie ran wprowadzić musiało w drganie nerwy każdego, kto nie zatracił uczuć ludzkich, a pobudzić sumienie sfer rządzących. Dziś nędza ludu wiejskiego stoi w pierwszym rzędzie zagadnień społecznych, któremi się zajmuje inteligentny ogół w Galicyi. O chłopa walczą wszystkie stronnictwa polityczne, już we własnym interesie szukać muszą przeto przyczyn jego położenia i środków zaradczych. Jest to tem bardziej naglącem, że wieśniak, emigrując z kraju, składa wymowny, choć cichy protest przeciw istniejącym stosunkom, że domaga się od posłów uwzględnienia swoich żądań i że polityka szlachecka coraz nowe wykazuje porażki. Jeżeli materyalne położenie chłopa galicyjskiego nie poprawiło się wcale, a ostatnia reforma wyborcza dała mu zaledwie cień wpływu na sprawy publiczne, to odniósł on większe zwycięztwo moralne. Powszechnem jest dziś uznanie, iż stanowi on pierwszorzędny czynnik w życiu społeczeństwa, że w położeniu jego zmiana zajść musi. Oświaty i chleba dla ludu pragną chyba wszystkie warstwy: jedne dlatego, że nędza szerokiej masy oblewa im czoło wstydem, inne pod wpływem dobrze zrozumianej konieczności i z obawy całkowitej utraty wpływu. Reformy stosunków prawnych od lat dziesięciu czekają wprowadzenia w życie, działalność ekonomiczna już się rozpoczęła, nie mówiąc o dążnościach na polu oświaty, które wyrażają się w zakładaniu szkół, w zwiększających się wciąż wydatkach, wreszcie w pracy Towarzystwa szkoły ludowej. Stosunki są przecież tak trudne do rozwikłania, że między postanowieniem i wykonaniem upływają całe lata, tem bardziej, że walka stronnictw politycznych pochłania najlepsze siły. Pomimo to stoimy, jak się zdaje, w przededniu daleko sięgających reform. Położenie doszło do takiego napięcia, że gwałtownie domaga się poprawy. Gdyby ludzie milczeli, kamienie mówić będą.

W pierwszym rzędzie przyczyn, powodujących nędzę galicyjską, stoi podział własności ziemskiej pomiędzy latifundya i karłowate gospodarstwa chłopskie. Własność po nad 1000 mórg zajmuje $4\frac{1}{2}$ miliona m., czyli $\frac{1}{3}$ całego kraju, a należy tylko do 1,107 posiadaczów. Obszar, zajęty przez własność 200 morgową, a więc drobną szlachecką i posiadłości włościańskie, obejmuje około 56% całej powierzchni kraju. Biorąc pod uwagę nawet wszystkie posiadłości tej kategoryi, oblicza Pilat, że w r. 1896 wypadało tylko 4,2 m. na jedną. Należy zaś pamiętać, że własność włościańska tylko tam, gdzie ją stanowią przeważnie nieużytki, dochodzi niekiedy do 100 lub więcej mórg. Przy obliczaniu do 200-morgowych uwzględniamy tedy zarówno własność szlachecką drobną, jak i całą włościańską. Skoro ograniczymy się do ostatniej, nawet spotykanych zrzadka 50-morgowych chłopów zaliczyć musimy do bogaczów. Wogóle zaś właściciele działek niżej 1 morgi i od 1—3 stanowią zwykłą normę. Dokładnej statystyki podziału ziemi Galicya dotąd nie posiada, ale źródła urzędowe, wiadomości statystyczne, wydawane przez Wydział krajowy, przedstawiają z r. 1892 średni obszar gospodarstwa włościańskiego w powiecie Borszczowskim na 2,96 m., w Zaleszczyckim 3,10, w Husiatyńskim 3,47, w Tarnopolskim 3,78, w Trembowelskim 3,80, w Czortkowskim 3,95, w Zbarazkim 4,14, w Skałackim 4,17. W ostatnim już przed piętnastu laty posiadłości z obszarem niżej morgi stanowiły 32% ogółu, osady od 1—3 około 28%. Znaczy to, że w jedynym powiecie, dla którego przeprowadzono niegdyś dokładne badanie, 60 posiadłości na 100 nie dochodziło nawet 3 mórg. Od tego czasu rozdrobnienie nie ustało, ale przeciwnie poszło dalej, każdy rok wykazuje przyrost jednostek podatkowych, a jednocześnie zmniejszoną ich siłę pła-

tniczą. Nie jest to bynajmniej gołosłowne twierdzenie ludzi, zapatrzonych w doktrynę, ale uznana już dziś przez ludzi z obozu konserwatywnego prawda, że obie krańcowe kategorye, tj. własność wielka i karłowata zajmują coraz większe przestrzenie i że dokonywa się to kosztem średniej. „Można się obawiać — pisze Piłat na innem miejscu— że kategorya własności ziemskiej z obszarem 200—1,000 m. i wyższa nad 50—200 m., uszczuplana ciągle, zejdzie do minimalnej liczby posiadłości i prawie zniknie.“

Dla zwolenników teoryi bezwzględnego koncentrowania się własności, której pierwszem stadyum musi być proszkowanie najmniejszej, wynik dotychczasowej gospodarki społecznej w Galicyi jest znakomitym dowodem. Ale polityka nie może zadowolić się takim teoretycznym tryumfem. Dlatego też na porządku dziennym stoi pytanie: w jaki sposób zapobiedz dalszemu rozdrabnianiu gruntów? Odnośna ustawa prawodawcza wydaną już została w Austryi w r. 1839, ale poszczególnym krajom pozostawiono wprowadzenie jej w czyn i zastosowanie do warunków miejscowych. Dotąd oprócz Styryi nie weszła jeszcze w życie w żadnym z krajów austryackich.

Dla Galicyi zakaz testamentowego podziału gruntów włościańskich spotyka specyalne trudności. Ludność rośnie szybko, rodziny są liczne, istnieje więc dla włościanina silna pokusa podziału. Zamienia się ona na konieczność, gdy ziemia jest jedynym, chociaż bardzo nędznym środkiem utrzymania. Po za gospodarstwem rolnem pozostają tylko wyrobki na gruntach pańskich, płatne niekiedy 15 lub 18 cent. za dzień w zimie, a 25—30 w lecie. Naturalnie w bliskości miast zarobek najmity rolnego jest wyższy, ale i tu rzadko przenosi 40—60 ct. na dzień. Odpływu do zajęć przemysłowych ludność galicyjska niema, bo pomimo dwudziestoletnich usiłowań, które są szeregiem prób chybionych, przemysłu w kraju nie zaprowadzono. Jedyny przemysł wielki, który posiada przyrodzone warunki powodzenia, naftowy, z natury swojej zajmuje małą ilość rąk. Naturalnie, że z rozwojem rafineryi nafty i gałęzi pomocniczych, zapotrzebowanie robotników wzrosnąć musi, ale jest to w każdym razie kropla w morzu ludzkiej nędzy, która domaga się pomocy. Krzewienie przemysłu włościańskiego, skoro uważać go zechcemy za jedno ze źródeł zarobku dla ludności małorolnej, idzie również nader opornie. Przyczyny tego szukać należy przedewszystkiem tam, gdzie są szkopuły dla rozwoju wielkiego przemysłu, tj. w konkurencyi z innymi krajami państwa austryackiego.

Co zrobić przeto z ludnością włościańską, której się odbierze ostatnią deskę zbawienia w drobnym szmacie ziemi, jaki się jej dziś dostaje po ojcach?

Wobec tego nierozwiązalnego niemal zagadnienia występnją projekty połowiczne, dążące do obrony pewnej kategoryi posiadłości włościańskich, pozostawiwszy resztę własnemu ich losowi. Rozważała je konferencya rolna, do Lwowa w grudniu r. z. zwołana przez Wydział krajowy, który chciał w tej ważnej sprawie zasięgnąć zdania rzeczoznawców. Jednozgodnie niemal żądano zaprowadzenia minimum działek. Posiadłość włościańska bowiem, sama przez się drobna, traci prawie możność prowadzenia kultury rolnej, gdyż rozbita jest na niwy, rozsypane i mające zwykle nie więcej, niż 6—10 metrów szerokości. Uniemożliwia to używanie narzędzi rolniczych, nadzór i traktowanie roli, jako pola pod zboże. Przeciw ograniczeniu dzielenia gruntów wogóle podnosiły się przecież poważne zarzuty, a najenergiczniej protestowali dwaj powołani do obrad włościanie, poseł Bojko, właściciel trzymorgowej zagrody i rusin Huryk, który dokoła siebie ma obrazy najgorszej nędzy chłopskiej w Galicyi wschodniej.

Objąwszy reformą wszystkie posiadłości do 200 m., a zatem zarówno szlacheckie, jak i włościańskie, przekonałoby się może włościan, że prawo nie chce stwarzać dla nich ograniczeń wyjątkowych. Jednocześnie przecież ścieśniłoby to swobodę średniej własności szlacheckiej, o której rozwój chodzi, a której rozbicie na drobniejsze osady, jak to słusznie zauważył prof. Ochenkowski, nie wpływa ujemnie na ukształtowanie stosunków społecznych. Nie doprowadzi również do znacznej poprawy zakaz dzielenia posiadłości włościańskiej pewnych rozmiarów, np. powyżej 15 mórg. Właściciele tych osad słusznie uważać będą prawo za niesprawiedliwe ograniczenie swobody, a w takim razie znajdą się środki do obejścia ustawy: podział za życia, fikcyjne sprzedaże i t. p. Zakaz dzielenia posiadłości włościańskich nie jest tedy wyjściem z błędnego koła, w jakiem się znajdujemy i nie zostanie prawdopodobnie przeprowadzony. Usposobienie ludności, która dziś nie okazuje już ochoty poddawania się narzuconym jej z góry eksperymentom, daje powody do sztucznych obaw i ostrożności.

Czy istotnie jednak rozdrobnienie własności jest główną przyczyną nędzy galicyjskiej i zjawiskiem spotykanem tylko w naszej nieszczęśliwej ziemi? Niech odpowiedzą fakty.

Statystyka w Niemczech (z 1882 r.) wykazuje na 100 posiadłości 58, które dosięgają najwyżej rozmiaru 2 h (3,3 morgi). Procent ten wzrasta w Saksonii do 60, w Meklemburgii do 79 i 84. w Prusach do 61. Rozdrobnienie gruntów nie jest bynajmniej przyczyną ubóstwa, bo oto w księstwie Badeńskiem 836 tysięcy hektarów dzieli się między 232 tysiące gospodarstw, gdy na wschodzie monarchii niemieckiej 158 osób rozporządza 692 tysiącami hektarów. I właśnie z owego wschodu państwa pochodzą cierpiący nędzę rolnicy (nothleidende Agrarier), których skargi skłoniły rzeszę niemiecką do wprowadzenia ceł zbożowych. A pominąwszy krokodyle łzy wielkich właścicieli, nie najlepiej dzieje się włościanom na Pomorzu lub w Prusach Wschodnich i Zachodnich. Tymczasem w Wirtembergii i w Badeńskiem pomimo wielkiego rozdrobnienia gruntów panują kwitnące stosunki. Znawcy ich, Rümelin i Kull, twierdzą, że istniejący podział własności, który zmusza do gospodarstwa na drobnych porcelach „przy istniejącej oddawna swobodzie dzielenia i sprzedawania gruntów, przy gospodarce drobnych właścicieli na własnej roli i bez wielkich latyfundyów staje się źródłem wielkich gospodarczych korzyści.“ Podobnie wyraża się Rau o rozdrobnieniu własności ziemskiej w prowincyi bawarskiej Pfalcu, gdzie w ciągu ostatnich 60 lat produkcyjność gruntu podwoiła się prawie. Tak samo oddziałało rozdrobnienie gruntów na stosunki w Hesyi, w Alzacyi i w Lotaryngii.

Rozpatrując się po innych krajach, spotykamy we Francyi poniżej 1 hektara 38 posiadłości na 100, w Belgii poniżej 2 h. 78% z ogólnej liczby osad. W obu tych krajach intenzywna uprawa gruntu i kultura ogrodnicza zamieniły role na ogrody i dały mieszkańcom względną zamożność.

I dla Galicyi przeto nie możemy uważać rozdrobnienia gruntów, ani swobody podziałów za najważniejsze przyczyny nędzy wieśniaka. Jest nią raczej nieumiejętność zastosowania uprawy do rozmiarów posiadłości i warunków kraju. Wobec wysokich cen ziemi i nadmiernie licznej ludności, skazanej na utrzymanie się z jej uprawy, trzeba prowadzić gospodarstwo ekstenzywne. Wieśniak niewątpliwie mniej traci, korzystając ze swobody dzielenia gruntu, niż przez umiejętność uprawy roli. W kraju o przeważającej ludności rolniczej należałoby każdą parcelę zużytkować, tymczasem setki hektarów w Galicyi wschodniej leżą odłogiem, uważane za nieużytki.

Najwyżej grzeszy w tym kierunku gospodarka na gruntach wspólnie używanych, należących do gmin. Ogólny ich obszar wynosi w Galicyi 617,028 mórg. Wśród własności niétabularnej, a więc przeważnie włościańskiej, stanowią one $8\frac{1}{2}$% i rozsypane są w znacznej większości gmin, zarówno we wschodniej, jak i w zachodniej Galicyi, dochodząc czasem (pow. Tarnobrzeg) do przestrzeni, stanowiącej czwartą część obszaru włości. Z natury już swojej grunty wspólne służyć muszą głównie jako pastwiska i lasy. W tym charakterze, zużytkowane umiejętnie dopełniać właśnie mogą braki własności włościańskiej. Nie wystarcza przecież, że w Galicyi liczymy 417 tysięcy m. pastwisk i blizko 125 tys. m. lasu, jeżeli prowadzone na tych przestrzeniach gospodarstwo pastwiskowe i leśne obniżyło je znaczenie. Większość pastwisk to właściwie wygon, na którym bydło może wygodnie spacerować, ale gdzie nie znajduje żadnej prawie paszy. Zaniedbane i niechronione przez nikogo, schodzą do rzędu nieużytków i w taki sposób marnuje się majątek ubogiego kraju, którego jedynem bogactwem mogłaby być ziemia. Wszyscy gospodarze, uprawnieni do korzystania z pastwiska, wysyłają nań swoje bydło (np. w jednej z gmin powiatu Trembowelskiego na 50 m. pasie bydło 200 gospodarzy). Po tygodniu trawa znika, a bydło niszczeje, gdyż włościanin, licząc na istnienie pastwiska, nie dba o zapewnienie sobie paszy w inny sposób. Za bydłem chodzą zwykle dzieci właściciela, a nie wspólny pastuch, przez co cała gromada wyrostków płci obojej odrywa się od szkoły i przyucza do próżniactwa. Znawcy stosunków opowiadają o kradzieżach popełnianych przez te młode pokolenie i o wcale niesielankowych scenach przedwczesnej rozpusty, która musi być następstwem takiego współżycia źle odzianych i wygłodniałych młodych chłopskich pokoleń. Szkoda materyalna jest tem większą, że pastwiska gminne leżą po większej części na polach najlepszego gatunku, które w razie zamiany ich na przestrzenie uprawne miałyby koło 200 złr. wartości za morgę. Po lasach gminnych gospodarka jest również rabunkową, a system protekcyi, lub nawet przekupstwa u władzy gminnej niemałą odgrywa rolę. Obszar zamieniony na ogrody i role obejmuje zaledwie 15,8 tysięcy, które prawdopodobnie wydzierżawiane być muszą, a w gospodarce gminnej kraju nie odgrywają żadnej roli.

Konieczność uregulowania gospodarki na gruntach wspólnie używanych, pozostawionych dotąd wyłącznemu zarządowi wójtów, narzuca się każdemu, kto się tym stosunkom przyjrzy bliżej. To też w 1891 r. już (okólnikiem z 31 grudnia) Wydział krajowy postanowił przystąpić do reformy. W tym celu rozesłano do wszystkich wydziałów powiatowych i starostw galicyjskich zapytania, dotyczące gospodarki na gruntach wspólnie używanych. Z odpowiedzi przekonano się o ogólnem przeświadczeniu, że gospodarki tej za dodatnią uważać nie można, że koniecznem jest jej uregulowanie. Zapytania stawiały kwestyę dobrowolnego podziału lub sprzedaży przymusowej gruntów wspólnie używanych, albo też zaprowadzenia na nich racyonalnej uprawy. Oprócz starostwa w Zbarażu wszystkie inne oświadczyły się za koniecznością reform. Jedyny zaś wyjątek z ogólnego chóru głosów nie zdaje się opierać na istotnie

korzystnych stosunkach, lecz wynika chyba z opieszałości właściwej niekiedy urzędom prowincyonalnym, którą każda zmiana przerażać musi.

I tu, jak przy ograniczeniu podziału gruntów, przymus zdaje się być niebezpiecznym, a podział gruntów wogóle, tj. zniesienie wspólnego ich użytkowania byłoby naruszeniem dotychczasowych zwyczajów, w każdym razie ryzykownem. Pozostaje więc znowu droga powolniejsza i więcej mozolna zaprowadzenia racyonalnej gospodarki. Na drogę tę ani włościanin pojedynczy, ani gmina wiejska samodzielnie i odrazu nie wejdzie. Tu musi się dokonać systematyczne wychowanie drobnego rolnika, powstać muszą instytucye, dające im pomoc w postaci instrukcyj, kredytu, zachęty przy pomocy nagród, wystaw itd. Inne kraje, jak np. Czechy, wkroczyły już na tę drogę. Zobaczmy tedy, co robi się w tym kierunku w Galicyi?

(D. n.)

Dr. Zofia Daszyńska.

W DALI.

Łódź. Zatwierdzoną została ustawa nowego towarzystwa akcyjnego z kapitałem 4,000,000 rubli, podzielonych na 8,000 akcyj 500-rublowych. Założycielami są przedstawiciele pierwszorzędnych firm łódzkich. Przedsiębiorstwo zamierza eksploatować rudy żelazne gubernii Ołonieckiej i zużytkowywać je w zakładach metalurgicznych w Cesarstwie. — Z kapitałów polskich powstaje w Łodzi tkalnia akcyjna. Nową fabryką zarządzać będą dwaj kierownicy, techniczny i administracyjny. — Z dokonywanych tranzakcyj przez hurtowników rosyjskich w Łodzi, można się przekonać, że ożywienie w tutejszym przemyśle fabrycznym znacznie wzrosło w porównaniu do lat poprzednich. Nie licząc Moskwy, która zawsze załatwia zakupy na samym początku sezonu, przybyli kupcy z Odesy, Petersburga, Kiszyniewa, Witebska i Berdyczowa i zrobili zamówień na towary zimowe, jak podają źródła miejscowe, za 2 miliony rubli z górą; na tyleż prawie w mniejszych ogniskach przemysłu tkackiego.

Pabjanice. Dzięki inicyatywie mieszkańców, otwartą zostanie wkrótce w Pabjanicach siedmioklasowa szkoła handlowa. Inicyatorowie złożyli deklaracyę rejentalną, w której zobowiązują się do pokrywania niedoborów, jakie się w początkach istnienia szkoły okazać mogą. W obszernym trzypiętrowym gmachu, zakupionym na ten cel, wygodnie pomieszczą się sale rysunkowe, laboratorya, biblioteka, oprócz dziewięciu znacznego rozmiaru sal, przeznaczonych na wykłady.

Kielce. Zmarła w d. 26 z. m. Julia Jawornicka, była dożywotniczka sumy 20,000 rubli, którą przeznaczył po wygaśnięciu dożywocia zapisodawca Kuszel, na założenie w Kielcach dla ludności ubogiej lombardu miejskiego z charakterem filantropijnym. Obecnie oswobodzona z pod dożywocia suma uzyska przeznaczenie właściwe, a pożądanem byłoby bardzo, aby przyszła instytucya wykazać mogła działalność pożyteczną. Zachęciłoby to może ofiarność ludzi możnych do zapisów na kasy pożyczkowe, wiadomo bowiem, że te, które istnieją, z filantropią nic wspólnego nie mają.

Łomża. Wpośród jednozgodnych utyskiwań na bezprzykładne prawie żniwa tegoroczne, najgłośniejsze skargi dochodzą z gub. Łomżyńskiej. Nie licząc szkód, zrządzonych tam przez grady, straty na samej ilości i jakości zbóż, sprzątanych w najgorszych warunkach, pozwalają dziś już na wielce niepomyślne wróżby dla miejscowego rolnika. Jeszcze zatem raz jeden ponurzesiać wypadnie rolnikowi na zadowolenie, jakie mu w maju i czerwcu dawała nadzieja bogatych plonów.

Kijów. Sąd okręgowy kijowski zatwierdził w ostatnich czasach testament obywatela gub. Kijowskiej, Władysława Stefana Narwojsza, zmarłego w d. 2 marca r. b. Rozporządzeniem tem przeznaczył testator 150,000 rs. na założenie szkoły rolniczej w powiecie Czechryńskim, majątku Złotopole, wraz z pensyonatem dla uczniów niezamożnych bez różnicy wyznań. Zakład ten nosić będzie nazwę szkoły rolniczej imienia Władysława Narwojsza.

Moskwa. Przy klinice szpitalno-chirurgicznej uniwersytetu moskiewskiego założono w ostatnich miesiącach stacyę Roentgenowską. Niezależnie od badań naukowych, prowadzonych przez fakultet lekarski tutejszy, przysługuje lekarzom praktykującym prawo korzystania z tej instytucyi. Każdy z nich ma możność za pewną opłatą zbadać stan swego pacyenta w obrębie kliniki.

Władywostok. Gazeta tego imienia podaje następującą listę pensyj rocznych, pobieranych przez urzędników drogi żelaznej Mandżurskiej. Oto płace, które naszemu czytelnikowi wydadzą się trochę wygórowane: inżenier naczelny 50,000 rs., pierwszy jego pomocnik 30,000 rs., drugi pomocnik 20,000 rs., naczelnik oddziału technicznego 15,000 rs., naczelnik ruchu 15,000 rs., główny referent 7,200 rs.; starszy doktór drogi 8,000 rs. Na miejscu jednakże płace te nie wydają się bynajmniej nadzwyczajnemi, bo odpowiada im zupełnie cena produktów spożywczych i innych niezbędnych potrzeb życiowych.

DONIESIENIA URZĘDOWE.

W „Zbiorze praw“ ogłoszono następującą uchwałę Rady państwa o rozszerzeniu na Królestwo Polskie prawa z r. 1888 o ochronie lasów:

„Do składu komitetów ochrony lasów, zamiast osób wybieranych przez ziemstwa, wchodzą: prezes dyrekcyi miejscowej i dwaj członkowie z grona właścicieli lasów, mianowani przez general-gubernatora.

Lasy, obciążone serwitutami, aż do chwili uwolnienia ich od serwitutów, podlegają władzy komitetów tylko pod względem uznania ich za lasy ochronne.

Celem roztrząsania spraw, odnoszących się do ochrony lasów, obciążonych służebnościami włościańskiemi w guberniach Królestwa Polskiego, utworzyć należy komisye połączone, złożone z komisyj gubernialnych do spraw włościańskich i komitetu ochrony lasów na zasadach następujących:

1) Do zakresu komisyj połączonych należą:

a) Podział lasów, obciążonych serwitutami włościańskimi, celem ustanowienia nad nimi nadzoru komisarzów do spraw włościańskich, urzędników zarządu lasów skarbowych i policyi.

b) Wydawanie wspomnianym urzędnikom pełnomocnictwa do pociągania do odpowiedzialności sądowej, oraz do podawania skarg i apelacyj od wyroków sądowych i do wyrokowania w sprawach o wykroczenie przeciw przepisom, ustanowionych dla użytkowania z lasów, obciążonych serwitutami włościańskimi.

c) Udzielanie tym urzędnikom instrukcyj szczegółowych w sprawach ich obowiązków i sposobu ich wypełniania.

d) Badanie doniesień urzędników, którym poruczono dozór nad lasami, obciążonymi serwitutami włościańskimi, o wykroczeniu przeciw przepisom, wydanym dla użytkowania z tych lasów i decyzya co do tych doniesień, a w razie potrzeby decyzya o wydaniu właścicielom wspomnianych lasów zakazu ich wyrąbywania.

e) Ustanowienie właścicielom lasów, obciążonych serwitutami włościańskimi, terminu zalesienia działów przetrzebionych lub nielegalnie wyciętych, oraz ustanowienie kosztorysu wykonania tego zalesienia przy pomocy urzędników lasów skarbowych — i

f) Badania planów gospodarstwa leśnego w tych lasach, obciążonych serwitutami włościańskimi, które to lasy komitety ochrony lasów uznają za ochronne w całości lub w części.

Uwaga: Urzędnicy zarządu lasów skarbowych i policyi, którym poruczono dozór nad lasami, obciążonymi serwitutami włościańskimi, w razie wykrycia w nich takich wykroczeń, które sprzeciwiają się postanowieniom komisarzów do spraw włościańskich, donoszą o tem oznaczonym osobom urzędowym.

2) Zażalenia na postanowienia komisyi połączonych w sprawach wymienionych w punktach *c)* do *e)* poprzedniego artykułu wnosić można w ciągu trzech miesięcy od dnia ich ogłoszenia do istniejącej przy wydziale ziemskim ministeryum spraw wewnętrznych komisyi do spraw włościańskich gubernij Królestwa Polskiego. Zażalenia te wnosić należy do komisyj połączonych, które w przeciągu dwu tygodni od dnia ich otrzymania winny przesłać je na miejsce przeznaczenia wraz ze swojemi objaśnieniami.

3) Sprawy komisyj połączonychześrodkowują się w kancelaryach komisyi gubernialnej do spraw włościańskich pod bezpośrednim kierunkiem ich stałych członków.

4) Ministrom spraw wewnętrznych, rolnictwa i dóbr państwa, po wzajemnem porozumieniu, porucza się udzielanie komisyom połączonym szczegółowych instrukcyj o sposobach i porządku wypełniania obowiązków, opartych na tych postanowieniach.“

Następują przepisy o porządku użytkowania lasów, obciążonych serwitutami.

KRONIKA.

Wędrówka robotnika naszego do Niemiec nie ustaje bynajmniej w porze letniej i coraz dotkliwiej odbija się na rolnictwie powiatów sąsiadujących z pograniczem niemieckiem. Przez jedną tylko komorę Dobrzyń przeszło w roku bieżącym 500 zgórą robotników, nie licząc tych, którzy pomijając formalności paszportowe przekradli się, jak to corocznie bywa, przez granicę. Nasza ludność wiejska znajduje za granicą zarobki wyższe, niż na miejscu, i trudno się dziwić, że idzie za nimi, zwłaszcza że niemieccy właściciele ziemscy umieją sobie z roku na rok zapewniać ten wędrowny element roboczy, przez zatrzymywanie każdemu z ludzi naszych przy obrachunku pewnej, dosyć znacznej nawet, kwoty, niby tytułem kaucyi, na umowę przyszłoroczną. Jest to w każdym razie fortel, przeciw któremu ostrzegać należy naszą ludność wiejską, zwłaszcza, że on tylko na jej szkodę użytym być może.

Stypendya. W uniwersytecie warszawskim wakuje 5 stypendyów imienia D-ra Kaczorowskiego dla studentów wyższych kursów fakultetu medycznego. Każde stypendyum po rubli 300 płatnych w czterech ratach kwartalnych. Kuratorem zapisu jest były dziekan, profesor Włodzimierz Brodowski.

Szkoły. Ministeryum oświaty zawiadomiło tutejszą władzę naukową, iż kandydatki z prywatnej edukacyi pragnące otrzymać świadectwo z ukończenia sześciu lub siedmiu klas gimnazyalnych żeńskich, mają być dopuszczane do egzaminów bez żadnego ograniczenia narówni z uczennicami tych gimnazyów, choćby nawet były starsze, niż wskazywały dotychczasowe przepisy, dotyczące wieku uczennic wymaganego w gimnazyach żeńskich.

Ruch budowlany w Warszawie wzrasta, jak wiadomo, z każdym rokiem. Niektórych danych dotyczących dowozu materyałów jedną z arteryj naszego ruchu, a mianowicie drogą Warszawsko-Wiedeńską dostarczają pisma, jakkolwiek wiadomości tych nie uważamy bynajmniej za dokładne ani wyczerpujące. Przeciętny dowóz dzienny cegły z Grodziska i Pruszkowa wynosi 90 wagonów — wapna z Piotrkowa, Rudnik i Radomska przychodzi 40 — wyrobów żelaznych z okręgu dąbrowskiego 20 — cementu z Wysokiej, Łaz i Grodźca 15. Z prawego brzegu Wisły przybywa codziennie po kilkadziesiąt wagonów z drzewem, gipsem i marmurem. Nie mówi sprawozdanie o mnożących się cegielniach w pobliżu Warszawy, a tem mniej w znaczniejszej od miasta naszego odległości, jakkolwiek jedne i drugie świeżo poczynionymi na ten cel wielkimi nakładami pieniężnymi stwierdzają i wzrastające zapotrzebowanie, i ufność zarazem do trwałości ruchu budowlanego w naszem mieście. Od 13 lipca roku bieżącego funkcyonuje w pobliżu Jeziornej w Oborach majętności hrabiów Potulickich nowowzniesiony piec Hoffmana, który dostarczać będzie zimą i latem po 25,000 sztuk cegły dziennie. Materyał ten zakontraktowany obecnie do budowy koszar w pobliżu toru wyścigowego po zadośćuczynieniu zobowiązania zwróci się na zaspokojenie potrzeby przedsiębiorstw prywatnych. Ważnem jest również, że umiejący dobrze rachować sąsiedzi nasi z nad Sprei zawartemi tranzakcyami dowodzą wiary w dalszy rozwój Warszawy. Oto naprzykład na wiosnę roku bieżącego nabył w bliskości Piotrkowa przedsiębiorca niemiecki majątek Moszczenicę o 140 wiorst od Warszawy odległy, położony przy stacyi Baby. Nowonabywca zniósł tam całe prawie gospodarstwo rolne, na majętności liczącej 70 włók obszaru, bardzo małe tylko terytoryum pozostawia-

jąc pod kulturą; reszta zaś z całym możliwym pośpiechem obsiewaną jest i obsadzaną lasem. Aby jednakże nabycie ziemi po 2,000 rubli za włókę wytrzymało rachunek, potrzeba było wytworzyć dochód stały, po za procentem z ziemi, który z tego rachunku najwyraźniej zostaje na długie lata wykluczoną. Tym dochodem jest sprzedaż cegły do Warszawy, którą wybudowany wielkich rozmiarów piec Hoffmana wyrabiać już zaczął. Nie zapominajmy, że chodzi o znaczną odległość od Warszawy i że gdyby to przedsiębiorstwo chybić miało, nabycie majątku okazałoby się absurdem, a Niemcy tego rodzaju absurdów nader rzadko się dopuszczają.

Weterynarya. *Prawitielstwiennyj Wiestnik* ogłasza rozporządzenie, mocą którego zarządy weterynaryjne w Petersburgu, Moskwie, Warszawie i Odesie zostają na przyszłość wyodrębnione od lekarskich i wyjęte z pod inspekcyi starszych lekarzy policyjnych. Natomiast utworzone będą posady inspektorów weterynaryjnych z płacą 2,000 rs. i 1,000 rs. na wydatki kancelaryjne.

Poczta. Cyrkularz zarządu poczt i telegrafów podaje do wiadomości postanowienie, dotyczące zmian w porządku wysyłania i odbioru listów zwyczajnych, rekomendowanych, zaliczeń pocztowych i korespondencyi urzędowej. Nowe przepisy mają na celu możliwe ułatwienia pod względem szybkości i udogodnienia tak co do wysyłki jak i odbioru. Niektóre z przepisów objętych cyrkularzem, obowiązywać mają natychmiastowo, inne wejdą w wykonanie z początkiem nadchodzącego roku.

Koleje i komunikacye. Donoszą z Wilna, że studya przedwstępne dla wytknięcia nowej linii Wilno-Ryga przez Wiłkomierz, Poniewież i Bausk są na ukończeniu. Podniosła się wskutek tego znacznie cena placów w Wilnie, mianowicie w dzielnicy, w której wedle projektu stanąć ma dworzec nowej drogi żelaznej.

Odpowiedzi Redakcyi.

M. E. w Ek. O ile mogliśmy zbadać, dzieło to nie jest tłomaczone na język polski.

Prenumeratorce. Sierociński: „Gramatyka polska" 1889 r., 10 kop.; W. Weychertówna: „Książeczka dla tych, którzy chcą dobrze mówić, czytać i pisać po polsku" 25 kop.; W. Lercel: „Gramatyka języka polskiego dla szkół elementarnych," Kraków, 55 kop.

Dzieło dr. J. Dallemagne a

Człowiek zwyrodniały,

*które dołączaliśmy zeszytami w dodatkach **Prawdy**, wyszło w osobnej książce. Cena ogromnego tomu (742 str.) wynosi tylko **dwa ruble** bez przesyłki.*

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 24 Іюля 1898 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka, Nr. 8.